Nr. 43 (1191). Warszawa, dnia 11 (24) Października 1903 r. **Rok XXIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



POLITYKA.

Na dalekim Wschodzie.

Robi się bardzo dużo taniej wojny przy biurkach dziennikarskich i telegraficznych: dlatego dobrze jest zawsze z niedowierzaniem przyjmować niepokojące zwierzenia wszystkowiedzącego pióra i doniesienia nic nieukrywającego telegrafu. Zasada ta, zastosowana do obecnych, od trzech już miesięcy kłębiących się stosunków japońsko - rosyjskich jest tem słuszniejszą, że wiele wiadomości charakteru już przed wojennego doczekało się odwołania przez tych samych, którzy je w świat byli ponieśli; dość tylko przytoczyć tu wysadzenie wojska japońskiego na ląd koreański. Prorokowanie wojny może się okazać przedsiebiorstwem złem; wskazywanie jej jako już na wybuchu będącej jest robotą lekkomyślną. Niewątpliwie obie strony nagromadziły znaczne siły, przygotowały się do wojny i przygotowań dalszych nie zaniedbują na wypadek, gdyby rzeczywiście wybuchła; rokowania między ministrem spraw zagranicznych w Tokio, Kamurą, a nadzwyczajnym posłem rosyjskim, bar. Rosenem, niedobrze się przewlekają; prasa obu stron nabija broń i ustawia nogi do ataku; radzi mikado z ministrami nad niezwykłem położeniem z niezwykłą też żarliwością; i w Petersburgu i w Port Arturze również nie oddają się filozoficznym marzeniom: ale od tego wszystkiego do wojny może być jeszcze bardzo daleko — na całą odległość jej od pokoju daleko.

Nie to, czy będzie wojna — jest pytaniem istotnie poważnem dla tych, którzy tajemnic obu gabinetów nie znając, o rozmowach barona Rosena, nic nie wiedząc, całego psychizmu wojennego ocenić nie mogąc, nie chcą bawić się w wieszczbiarstwo, gotowe już nawet wyznaczyć dzień i godzinę dla nadciągającej przyszłości. Istotnie poważną jest kwestya: czy w stosunkach rosyjsko-japońskich, jak się one z czynów dokonanych, z nieodwołalnych faktów, z ujawnionych zamiarów i z elementarnych, samym zmysłem siły żywotnej odczuwanych, interesów złożyły, rzeczywiście panuje już takie zaostrzenie nieprzyjacielskie, iż nietylko o położeniu wojennem mówić wolno, ale mówić potrzeba, jeśli się ma wypowiedzieć rzetelne o stosunkach tych przekonanie? Wojna jest wypadkową nietylko sił i celów politycznych, mniej lub więcej uprzedmiotowić się dających: jest także odruchem nerwowym, jest wypadkową z centrów nerwowych, z podmiotowej psychiki wywiązującej się energii. Może szklanka wody sprowadzić wojnę; ale położenia wojennego nie sprowadzi żaden grymas, żadna chęć lub niechęć chwilowa: wytwarza je historya, geografia, polityka wieloletnia, a nieraz wielowiekowa, cel stały ambicyi panstwowej lub dynastycznej — pewna potrzeba a nawet konieczność rozwoju, tkwiąca w potędze, w konstytucyi, w społecznym podkładzie państwa jednego ścierającego się z drugiem.

Z historycznej zasady rozwoju Państwa Rosyjskiego — stwierdzającej nieskończoną jego rozszerzalność terytoryalną, w celu opanowania północnej i środkowej Azyi na zachodzie, a od r. 1856 zaokrąglenia posiadłości nad oceanem Spokojnym przy ustawicznem ciążeniu ku morzu Żółtemu — wykluło się podczas wspólnego odwetu całej Europy cywilizowanej na barbarzyńskich Chinach w r. 1900 — opanowanie Mandżuryi z zajęciem jej kończyn nadmorskich: Niu-czuangu nad wewnętrznem m. Żółtem i półwyspu Liao-tong, oddzielającego je od zewnętrznego. Równolegle z wyprawą ogólnie-europejską, uczestnicząc w niej na pierwszem miejscu, Rosya prowadziła swoją własną — na własny też rachunek — i dziś zawdzięcza jej dzierżenie Mandżuryi.

A z drugiej? Japonia w dziejach swoich zapisała niejednokrotnie już wpływy swoje, zapędy i osadnicze nawet prace w Korei. Geograficznie bliźniacza, cywilizacyjnie pokrewna, Chinom na gruncie koreańskim niechętna: o Koreę w r. 1894 stoczyła wojnę z niemi. Europa wydarła jej wszystkie pożądane, oczekiwane tej wojny korzyści. Zajęcie Mandżuryi przez Rosyę postawiło ją w gorszych warunkach, niż były za zwierzchnictwa chińskiego na Korei. Droga morska, potrzebna dla Rosyi, niezbędną jest dla Japonii. Jeżeli Rosya nad tą drogą stanowiska wojskowe pozyska, Japonia będzie od Korei odciętą. Dlatego zrozumiałem jest upominanie się o Mandżuryę w Tokio; dlatego prawdopodobnem jest układanie się o Koreę i cieśninę między Koreą a Kiuszyu i Niponem; dlatego wreszcie z powodu żywotności i głębokości interesów obu stron położenie dzisiejsze trzeba nazwać poważnem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Węgry są jeszcze bez konstytucyjnego rządu. Komisya sejmowa (Dziewięciu) uchwaliła punkta wojskowe. Król niechętnie je przyjął.

Na pograniczu macedońskiem były starcia, ale pomniejsze, bez rzezi. Zapędzali się też i Turcy na terytoryum bulgarskie, jak przedtem na serbskie. Pp. Zinowjew i Calice wrę-

czyli już Porcie memoryał o środkach kontroli nad wykonaniem reform, a odesłali jej napowrót notę w sprawie gwałtów i nadużyć. Anglia popiera oba mocarstwa, uważając reformy dotychczasowe *in thesi* za niewystarczające. Myślą jej jest mianowanie gubernatora chrześcianina. Grecya ofiaruje już na tę posadę swego księcia Jerzego. Liczne zamówienia broni, dział i amunicyi, dokonane przez Turcyę, pogotowie wojenne Bulgaryi i sama powściągliwość dyplomacyi działającej, wciąż jeszcze nie pozwalają przewidywać uciszenia zawieruchy — atramentem.

W Serbii skupczyna po sprawdzeniu wyborów odpowiedziała na mowę tronową adresem. Prócz ogólników dla króla i pragnień lepszego rozwoju dla kraju, jest tu ogólna wzmianka o patryotyzmie armii, o jej powołaniu na przyszłość, ale ani słówka o nocy czerwcowej. Z Białogrodu donoszą do Wiednia o frankach jakoby pobranych przez sprawców z kasy wojennej; nawet Awakumowicz za wytworzenie gabinetu miał jakoby dostać 50,000 fr.; ogólną sumę wynagrodzeń ustanawia doniesienie na 300,000 fr. Trzeba czekać na potwierdzenie wiadomości. Oficerowie z Niszu, skazani wyrokiem pierwszej instancyi, w drugiej nie otrzymali złagodzenia; co więcej, najniżej skazanym w apelacyi podwyższono nawet karę.

Królestwo włoscy opuścili Paryż d. 18 b. m. Toasty o porozumieniu się, zbliżeniu, uczuciach przyjaznych trzeba przyjmować przedewszystkiem jako objawy grzeczności. Minister spraw zagranicznych, Morrin, miał powiedzieć: „Morze Śródziemne dzieliło nas, odtąd nas łączyć będzie.“ I to nie bardzo pewne, choć jako ogólnik możliwe. Niewątpliwym owocem jest kolej ponad morzem z Nizzy do Włoch; z poważniejszego zakresu możliwem — porozumienie się o Marokko i Trypolitanię.

Na Śląsku po zlaniu się Towarzystwa ludowego z Towarzystwem wyborczem w Komitet centralny nad wyborami, po ustanowieniu zarządu i wysłaniu dwu delegatów do Komitetu centralnego polskiego, kierującego wyborami w całem państwie niemieckiem, zaświtała nadzieja zgodnego działania Polaków na Śląsku wobec zgodnego w sobie, karnego a nienawiścią pałającego wroga. Nowe wszakże podjazdy p. Napieralskiego wskazują, że choroba jeszcze nurtuje to nieszczęsne ciało śląskie, rozbudzone po wiekach snu do życia. Na chorobę tę składa się najpierw pycha p. Napieralskiego, wątłość i nierozum ludu, wreszcie nędzota, małość i w znacznej jeszcze części prusactwo tamtejszego duchowieństwa. Na wybory pruskie w listopadzie z powodu niegodziwej ordynacyi wyborczej, urągającej wiekowi XX, postawiono kandydatów w jednym tylko okręgu pszczyńsko-rybnickim.

Odsłonienie pomnika Bismarcka w Poznaniu *Dzien. Poznański* przyjął poważnem, ale zbyt jeszcze łagodnem słowem, przypisując opinii niemieckiej wyzucie się z wszelkiej humanitarnej względności. Pomnik postawić mogła tylko dzika brutalność.

Sejm galicyjski obradował jeszcze d. 20 b. m. Większość bardzo znaczna nie uznała za potrzebne gimnazyum rusińskiego w Stanisławowie i dała lekkie napomnienie p. Koerberowi za wstawienie już w budżet r. b. odpowiedniego funduszu. Odrzucono też mocyę o lepsze przestrzeganie prawa o stowarzyszeniach, gorąco popieraną przez Rusinów i p. Stapińskiego. Młodzież rusińska, uniwersytecka we Lwowie, niezadowolona z wyboru ks. Fijałka, uczonego historyka na rektora, d. 16 b. m. wpadła na jego wykład i obrzuciła go jajami. W uniwersytecie i w mieście panowało wzburzenie; do starcia jednak nie przyszło. Pewną liczbę studentów rusińskich relegowano. Stu sześćdziesięciu w umyślnem podaniu zsolidaryzowało się ze sprawcami, których było zaledwie dwudziestu, z przybraną młodzieżą miejską, do uniwersytetu nienależącą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Ugoda towarzystw górnośląskich. — Oświadczenia Napieralskiego. — Fiasko p. Luxemburg w Poznaniu. — Ruch przedwyborczy w Poznańskiem. — Wzrost spółek zarobkowych. — Drugi proces o zaburzenia w Hucie Laury.

Iznowu muszę powrócić do ewolucyi stronnictw górnośląskich, ponieważ ona stanowi od pewnego czasu fakt najwybitniejszy naszego życia politycznego.

Dotychczas mieliśmy do czynienia jedynie z mniej lub więcej niedokładnemi pogłoskami, opartemi w znacznej mierze na niedyskrecyi tych lub owych przedstawicieli tak *Katolika* jak *Górnoślązaka*. Obecnie nie zbywa już nam na dokumentach autentycznych, gdyż obydwa, powaśnione do niedawna, a dziś już pogodzone obozy, wydały odezwę, stawiającą kwestyę zupełnie jasno. Ta odezwa, podpisana zarówno przez zarząd Towarzystwa wyborczego (*Górnoślązak*), jak i zarząd Towarzystwa ludowego (*Katolik*), zasługuje na szczególną uwagę, albowiem zapowiada nową erę w stosunkach górnośląskich.

We wstępie do odezwy obydwa zarządy oświadczają, że oba towarzystwa, uznając, iż stan niezgody, wywołany wyborami do parlamentu, musi w społeczeństwie naszem przynieść niepowetowane szkody tak katolickiej, jak i polskiej sprawie, zawarły zgodę polityczną. Widzimy w tym ustępie charakterystycznie „katolikowską“ stylizacyę i wysunięcie na plan pierwszy interesów wyznaniowych. Tu więc *Górnoślązak* podporządkował się *Katolikowi*.

Natomiast w sformułowaniu zasad ugody widać wpływ przeważny *Górnoślązaka*, ponieważ punkt drugi mówi wyraźnie: „Lud polski ma, co się tyczy wyborów, to samo prawo, jakie bezsprzecznie każdy naród posiada, aby wybierać posłów swojej narodowości, to jest Polaków.“ Wychodząc z tej zasady, oba towarzystwa postanowiły wytworzyć władzę wyborczą pod nazwą „Polski komitet wyborczy dla Śląska,“ którego podstawą jest uznanie narodowo-polskiego stanowiska przy wyborach, a celem: zabiegi około wyboru posłów Polaków. W poczuciu wspólności narodowej z resztą ludu polskiego w Prusach polski Komitet wyborczy dla Śląska wyśle dwóch delegatów do polskiego Komitetu centralnego na Rzeszę niemiecką.

W programie działalności praktycznej na przyszłość najbliższą widzimy znowu przewagę *Katolika*. Polski Komitet wyborczy dla Śląska we wszystkich okręgach wyborczych, z wyjątkiem jednego, zachowa przy najbliższych wyborach zupełną abstynencyę — to znaczy, że nie będzie zupełnie przeszkadzał centrowcom wyzyskiwać głosy ludu polskiego dla obcych jemu celów. Tylko w okręgu pszczyńsko-rybnickim polski Komitet wyborczy stawia trzech własnych kandydatów: pp. J. Kowalczyka, redaktora z Katowic, Teofila Pardygoła z Ciosna i Emanuela Początka, właściciela ziemskiego z Tychów. Ci kandydaci będą się współubiegali o mandaty z kandydatami centrum niemieckiego.

Każde z towarzystw wybrało 10 członków do Komitetu wyborczego. Na czele zarządu Komitetu stoi ksiądz Pendziałek z Boguszewic, jako przewodniczący. Wysunięcie księdza na to stanowisko symbolizuje najlepiej właściwy charakter nowej organizacyi. Istotnie, utworzenie polskiego Komitetu wyborczego nie jest niczem innem, jak zastąpieniem niemiecko-klerykalnej organizacyi centrum organizacyą polsko-klerykalną, kierowaną naturalnie nie

---

Wacław Sieroszewski.

WYCIECZKA.

Dzień pogodny, choć zamglony. Morze spokojne gnie się łagodnie w potoczystych, perłowo błyskających falach. Płyniemy cieśniną. Na wschodzie błękitnieje długi ląd Hokkaido (Jesso), na zachodzie ku południowi widać bledszą odeń wyspę Osziri, a ku północy przed nami rozpościera się bezbrzeżne, stalowe u widnokręgu, szafirowe w pobliżu morze. Nasz mały, rybaczy parostatek, ciężko naładowany, dyszy z wysiłkiem, jak objedzona ryba i przewala się z boku na bok, prując z trudnością cicho grające tonie.

Na statku sami Japończycy. Ciasna kajuta pełna subjektów handlowych. Mają piwo, wino i wódkę, ale piją umiarkowanie a więcej... czytają. Czyta dużo i nasz „boy“ szczerbaty, rozczochrany, wesoły posługacz, który na wzór lokajów z wielkich okrętów nosi zwiniętą serwetę w bocznej kieszeni żakietu. Serweta jest niezmiernie czysta i świeża, gdyż jej nie używa, stale wycierając naczynia, sprzęty, ręce i nos papierem, który następnie puszcza z fantazyą na wiatr. Statek od samego rana jest starannie wymyty. Na pokładzie u masztu siedzi na długim sznurku więzień — bury sokół z żółtemi oczami; opodal w blaszanych pudełkach pływają czerwone, czochrate rybki japońskie, złote karpiki, popielate węgorze i jeszcze jakieś dziwaczne morskie mieszkanki z purpurową pręgą wzdłuż ciała. Na dziobie statku widziałem pod ochroną wysokiej szczęki kotwicznej mały gaiczek z kwitnącymi irysami. Jest to danina marynarzy japońskich składana ukochanej przez cały ich lud przyrodzie. Czy to majtek wraca ze zmiany, czy palacz wyjdzie na chwilkę z maszynowego piekła, aby ochłodzić głowę, każdy pochyli się nad kwiatkiem, zajrzy do rybek, albo podrażni sokoła. Mężny ptak natychmiast dziób rozdziawi, nadstawi szpony i majtek odchodzi uszczęśliwiony i pokrzepiony widokiem ptasiej dzielności.

— W niewoli a z długim nosem (dumny)!... — mówili mi, wskazując jeńca z uznaniem.

Płyniemy wciąż koło zębatych gór porosłych do szczytu kędzierzawymi lasami. Brzeg stromo opada ku morzu. — Nie widać nigdzie ani wsi, ani dróg... Kraj niedawno tknięty kolonizacyą i napozór niezamieszkany. Lecz gdziekolwiek opoka ma przyczółek płaskiego brzegu, zaraz na piaskach i głazach widnieją szare, łubiane domki japońskie; czółenko kołysze się na fali lub łódź płynie po morzu pod rozpiętymi, białymi żaglami. A gdzie brzeg mniej spadzisty, gdzie zgadnąć można z kształtu ziemi, że w wądołach biegnie rzeczułka lub kryje się słodkie jeziorko, tam napewno znajdujemy i zielone schody górskich, japońskich pól.

Mijamy wysoki przylądek Motta z prostopadle połupanemi, bazaltowemi skałami. W górze na ciemnych szczytach, bieleją płatki śniegu. Brzeg dziki, skalisty, pełen pieczar i wylizanych bałwanami zaklęśnięć.

Przecinamy dużą zatokę. Ląd po za nami ledwie się odznacza w kształcie mglistej smugi, a przed nami na perłowych rozłogach legła nizko blado-błękitna nić przeciwnego brzegu. W miarę jak zbliża-

przez grupkę narodowych demokratów od *Górnoślązaka*, lecz przez p. Napieralskiego, ks. Skowrońskiego, Pendziałka i innych. Utworzenie nowej organizacyi oznacza roztopienie się grupki narodowo-demokratycznej w morzu klerykalnem i odosobnienie *Górnoślązaka*, gdyby zechciał i nadal uprawiać politykę nacyonalistyczną.

Kiedy niektóre pisma niemieckie podniosły wielki krzyk, że *Katolik* przeszedł do obozu Korfantego, p. Napieralski z oburzeniem, zupełnie słusznem z jego punktu widzenia, odparł te oskarżenia. Pisał on: „Nieprawdą jest, jakoby *Katolik* i jego partya przeszła do *Górnoślązka*, lub zgoła p. Korfantego. Nieprawdą jest, jakoby *Katolik* albo Polskie Towarzystwo ludowe złączyło się z radykałami lub zgoła się z nimi zlało. Nieprawdą wreszcie jest, jakoby redaktor *Katolika* zmienił w czemkolwiek swoje poglądy na ogólne sprawy nasze, zeszedł ze stanowiska zajmowego przez niego dotąd i przyjął szczególnie w sprawie narodowej radykalne zasady *Górnoślązaka* lub partyi wszechpolskiej za swoje.“

To wyjaśnienie p. Napieralskiego stwierdza rzeczywistość. Ugoda została zawarta kosztem dążeń radykalnych *Górnoślązaka*. Zwyciężył oportunizm tych żywiołów, które przyłączyły się do obozu *Górnoślązaka* jedynie w nadziei łatwych zwycięstw i które obecnie powróciły pod komendę pp. Napieralskich, Pendziałków i Skowrońskich, skoro ci uznali za stosowne wystąpić w charakterze nietylko katolików, lecz katolików-Polaków.

Górnoślązak, wyrażając radość z powodu zgody między obydwoma obozami, pociesza się tem, że przynajmniej trwający od przeszło ćwierci wieku sojusz z centrum został zerwany, co w rzeczywistości bynajmniej nie jest prawdą. Inaczej przecież *Katolik* nie mógłby oświadczać, że nie zmienił swego stanowiska, inaczej niebyłoby możliwem pozostawienie kandydatom centrum-Niemcom (w tej liczbie i Ballestremowi) wolnego pola przy nadchodzących wyborach do sejmu we wszystkich, z wyjątkiem jednego, okręgach wyborczych. Wobec tego zupełnie słusznie występuje katowicka *Gazeta* przeciwko narodowym demokratom górnośląskim z zarzutem zdrady. Pismo to mówi:

„Polskie Towarzystwo wyborcze zawdzięcza jedyny swój mandat poselski hasłu: „Precz z centrum!“ „Precz z księżmi-centrowcami!“ I to samo Towarzystwo zawarło teraz zgodę z Towarzystwem ludowem, którego główną zasadą jest „łączność między ludem a duchowieństwem.“ Ponieważ zaś „księża górnośląscy są wszyscy za centrum“ — tak pisał *Katolik* w swej słynnej odezwie wyborczej z dnia 5 listopada 1901 r. i tak rzeczywiście jest, jak *Górnoślązak* nieraz przyznał — więc „Towarzystwo ludowe“ staje się łącznikiem pomiędzy centrum a ludem polskim na Górnym Śląsku. Postępowanie więc *Górnoślązaka* i „Polskiego Towarzystwa wyborczego“, które się z „Towarzystwem ludowem“ łączy, jest niczem innem tylko *zdradą* wobec dotychczasowego hasła: „Precz z centrum!“, zdradą interesu ludu polskiego na Górnym Śląsku, który wymaga przeprowadzenia i urzeczywistnienia się tego hasła. Piętnujemy więc popełnioną zdradę „Polskiego Towarzystwa wyborczego“ i *Górnoślązaka*. Hasło zaś „Precz z centrum!“ będzie się na Górnym Śląsku nadal rozlegać. Partya nasza podniesie je coraz silniej, coraz energiczniej. I coraz silniej będziemy wołać. „Precz z *Górnoślązakiem!*“ który swe własne hasła i interes ludu polskiego zdradza — w sojuszu i zgodzie z polskimi centrowcami.“

Należy tu podnieść fakt, że do Towarzystwa ludowego, które zlało się obecnie z Towarzystwem wyborczem, przyłączyło się około setki księży. Tymczasem wiemy z *Górnoślązaka*, że księży-Polaków na Górnym Śląsku jest zaledwie kilku. Mowa tu naturalnie o Polakach nietylko z pochodzenia, ale i ze świadomości. *Głos Śląski* p. Siemianowskiego, żałując swego nieopatrznego przyłączenia się do *Górnoślązaka*, cieszy się z ugody i z powrotu do przyjaźni z księżmi, pisząc: „Nasze społeczeństwo górnośląskie musi być nietylko polskie, ale także katolickie i ruch narodowy nie ma żadnego powodu, żadnego w tem interesu, żeby prowadzić spory z księżmi.“

W Poznaniu odbyło się ciekawe zebranie tak zw. „Wahlvereinu,“ do którego oprócz robotników niemieckich należy garstka Polaków — zwolenników Róży Luxemburg. Zebranie to było ciekawe z tego względu, że jeszcze raz pokazało, jak efemerycznym jest socyal-hakatyzm na gruncie polskim. Głównym tematem zebrania było sprawozdania z wiecu drezdeńskiego, na którym Poznań był reprezentowany przez pp. Gogowsky'ego i Różę Luxemburg. Jakkolwiek sami Niemcy i Polacy z „Wahlvereinu“ wnieśli protest przeciwko tej reprezentacyi, umożliwionej jedynie nieformalnem postępowaniem kilku zwolenników p. Róży Luxemburg, to jednak mandaty obojga uznano za ważne.

P. Gogowsky zastanawiał się głównie nad przyczynami klęski, poniesionej przez niego i przez jego zwolenników przy ostatnich wyborach do parlamentu, następnie wniósł rezolucyę, solidaryzującą się z uchwałą, przyjętą na wniosek p. Róży Luxemburg w Dreznie. I tu następuje najciekawsza część zebrania.

P. Kaczorowski, jeden z wybitniejszych przedstawicieli grupki p. Luxemburg, wstaje i oświadcza: Na wiecu drezdeńskim Róża Luxemburg przedstawiła się jako obrończyni polskiego ludu; dla mnie to było śmiesznem, gdyż wiem, że na wszystkich kongresach prowadziła polemikę, pełną nienawiści przeciwko organizacyi polskiej. Trzeba nareszcie położyć tamę tej działalności Róży Luxemburg, która pomimo, że mówi sama, iż jest Polką, występuje w histeryczny sposób, z całą sobie właściwą energią i nikczemnością przeciwko własnemu ludowi. Nie rozumiem, jak kongres mógł uwierzyć „szaleństwom“ Róży Luxemburg itd. Tak samo występował sekretarz Wahlvereinu p. Wiese, redaktor *Oświaty* — pisma zawodowego, wydawanego przez centralne niemieckie związki zawodowe i inni członkowie Wahlvereinu, uchodzący dotychczas za zwolenników p. Róży Luxemburg. W końcu zebranie odrzuciło rezolucyę p. Gogowsky'ego i postanowiło nie oświadczać się za uchwałą wiecu drezdeńskiego,

A jednak p. Róża Luxemburg nie daje za wygraną. Potrafiła ona znowu wyłudzić subsydyum z kasy niemieckiej na posiadającą 37 prenumeratorów *Gazetę Ludową* i w ten sposób socyal-hakatystyczny świstek poznański będzie wychodził w dalszym ciągu wbrew woli tych, dla których ma być przeznaczony. Będzie on pędził marny żywot tych licznych wydawnictw, jakie puszczane są dla ludu polskiego przez germanizatorów różnych autoramentów od wschodnio - pruskich konserwatystów do centrowców górnośląskich.

W Poznańskiem w dalszym ciągu wre walka z powodu kandydatur sejmowych. Ludowcy, skupiający się przy *Orędowniku*, a wspomagani przez t. zw. szlachtę postępową, dążą do obalenia kandydatur najbardziej reakcyjnych przedstawicieli dawnego kursu „dworskiego,“ zwłaszcza pp. Dziembowskiego, Jażdżewskiego i Cegielskiego. Ludowcy natomiast wysuwają kandydatury dr. Niegolewskiego i hr. Macieja Mielżyńskiego, oraz byłego redaktora *Kur. Poznańskiego*—p. Franciszka Morawskiego.

Ten ostatni wypowiedział na wiecu w Śmiglu bardzo charakterystyczną mowę. Wskazując na stopniowe schodzenie z wi-

---

my się ku niemu uderzają mię płomienne smugi i siwe dymy rozrzucone po wiszarach. Myślałem z początku, że to pożar lasu, lecz były to tylko odblaski ukośnych promieni zachodzącego z chmurami słońca.

Parowiec wciąż sapie i dąży z wysiłkiem ku ciemnemu przylądkowi, który wżarł się daleko w jasne, powietrzne i wodne przestworza. Pofałdowany, opoczysty brzeg zdawał się cały skupiać w tym kamiennym rylcu. Oblewa go czerwona łuna zachodzącego słońca, które zanurzając się w wodzie zupełnie stało się podobne do znaku malowanego na sztandarze Japonii. Przylądek ma dwa dzioby, jeden z nich kończy się prostopadłem urwiskiem, przed którem już w morzu stoi samotna, podobna do wspiętego niedzwiedzia, skała. Fale rozbijają się o nią i liżą jej boki. Na urwisku widać czerwoną latarnię morską i małą świątynię. Ten cypel to „Kamui-san“, słynny przylądek, poza który do niedawnych czasów nie wolno było przechodzić kobietom. O nim śpiewają w Hakodate do dziś dnia pieśni, i hakodackie gejsze tańczą taniec, wyrażający tęsknotę żony do męża trzymanego połowem ryb za Kamui-sanem...

Skoro nie mogę być razem,
Zbliżę się chociaż troszeczkę,
Stanę na brzeżku u wody,
U stóp Kamui-sana...

Stąd skierowaliśmy się prosto na otwarte morze.

W oddali samotny żaglowiec leciał naprzełaj z rozpiętymi żaglami. Szare, północne niebo stapiało się tam z zupełnie szarą wodą i trudno było odróżnić, czy ten uciekający pospiesznie od ziemi statek płynie po falach, czy jest nikłym, sunącym w powietrzu obrazem. Tam już panował zmrok zapadającej nocy, podczas gdy myśmy krajali jeszcze płachtę miedzianego blasku, rzuconego przez zachodzące słońce na wodę. Było coś bajecznego w mocno wydętych, wyolbrzymiałych płótniskach żaglowca, w ten cichy wieczór, zaledwie słabym owiewany wietrzykiem.

Tak zapewne wyglądał „Latający Holender“ przed wynalezieniem statków.

Wkrótce i jego i nas pochłonęły ciemności nocy.

Na parowcu zapalono światło.

Zajrzałem do jednostajnie huczącego, maszynowego przedziału.

Była to głęboka studnia, opatrzona małymi balkonikami i żelaznymi schodkami bez poręczy. Na dnie jej błyszczały polerowane pokrywy tłoków i ochładzaczy, a niżej pod kratą wciąż ruszały się ze stukotem korby i odśrubowce. Półnadzy Japończycy, palacze, siedzieli na ziemi i, kołysząc głowami, obwiązanemi w białe chusty, śpiewali żałosne, krajowe piosenki. Co jakiś czas jeden z nich wstawał, otwierał drzwiczki ogniska i ciskał w nie nową łopatę miałkiego węgla lub długim pogrzebaczem poprawiał zarzewie. Naówczas czerwona łuna wypełniała całą studnię, barwiła bronzowe twarze ludzi oraz stalowe członki maszyn i buchała na zewnątrz przez otwarte luki. Na pokładzie nie było nikogo, prócz sternika u rudla i pomocnika kapitana na mostku. Z kajuty służbowej na dziobie dolatywał stłumiony śmiech; w jej głębi, tuż u zejścia, grali w maluchne karty marynarze. W kajucie pasażerskiej subjekci, obsiadłszy szczelnie stół, czytali. Dwóch grało w szachy, tem się różniące od naszych, że szachownica ma dziewięć pól, nie osiem, niektóre figury chodzą trochę inaczej i że można przystawiać sobie zabrane przeciwnikowi kostki. Wszystkie kostki są białe, ścięte pochyło w jedną stronę i opatrzone napisem, co która znaczy, a partye kostek różnią się tem jedy-

downi szlachty i księży—tych „urodzonych przewodników“ narodu, jak się dotychczas jeszcze mianują, p. Morawski podnosi potrzebę wzięcia przez lud we własne ręce obrony swoich interesów. Mowa ta, wypowiedziana przez jednego z przedstawicieli szlachty, zrobiła wielkie wrażenie i jest umiejętnie wyzyskiwana przez ludowców.

Ludowcy znaleźli się w dość niemiłem położeniu z tego względu, że nie mają wprost nikogo w swojem gronie, kogoby mogli przeciwstawić kandydatom konserwatywnym, reprezentującym w każdym razie pewien zasób rutyny i doświadczenia. Muszą wobec tego, chcąc nie chcąc, korzystać z usług szlachty t. zw. postępowej.

To postanowili wyzyskać konserwatyści, przelicytowując ludowców za pomocą kandydatów „chłopskich.“ *Dzien. Poznański* wyśmiewa ludowców, że nie mają odwagi stawiać kandydatur rzeczywistych przedstawicieli ludu, tj. włościan. Za jego radą w powiecie Mogilnickim konserwatyści forsują kandydaturę włościanina Mroza, człowieka najzupełniej im oddanego, ale w każdym razie włościanina. Zdaje się, że w przyszłości konserwatywne kandydatury włościańskie, popierane przez reakcyonistów, wejdą w modę i staną się orzechem, trudnym do zgryzienia dla ludowców.

Pewną miarą dźwigania się ekonomicznego ludności polskiej jest wzrost oszczędności w polskich instytucyach samopomocy finansowej. Ruch organizacyjny w tej dziedzinie jest tak w Poznańskiem, jak w Prusach Zachodnich, a jeszcze bardziej na Górnym Śląsku, stosunkowo dość świeżej daty. Dopiero w r. 1873 powstał pierwszy polski „Związek spółek zarobkowych,“ obejmujący 43 polskie spółki w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich. Te spółki liczyły w chwili powstania Związku 7,660 członków, których udziały wynosiły 623,486 marek. Depozyta, czyli oszczędności, złożone w tych spółkach, tworzyły sumę 2,601,000 marek, fundusze rezerwowe — 74,296 m., a czysty zysk w r. 1873 — 35,946 marek. Obecnie spółek polskich, należących do Związku, jest w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich 138, obejmujących 62,135 członków. Udziały tych członków wynoszą $9^1/_4$ milionów marek, fundusze rezerwowe — przeszło $3^1/_2$ mil. m., zysk w r. 1902 — 871,000 m., oszczędności — przeszło 49 mil. m., na które złożyło się 52,000 deponentów, co wobec 2-milionowej ludności polskiej dwóch tych prowincyj stanowi dorobek nielada.

Wzrost spółek jest bardzo szybki. W ciągu jednego roku 1902 liczba członków pomnożyła się o 5,000, kwota udziałów o 1 milion, suma zaś oszczędności o 7 mil. marek. Jeśli dodamy do tego około 9 mil. m., złożonych w Banku Związku spółek, oraz 15 mil. m., zebranych przez Banki ludowe na Górnym Śląsku, które poczęto zakładać przed sześciu laty, to otrzymamy sumę bardzo pokaźną. Na tej właśnie sumie może się opierać dziś polski handel i przemysł, tej sumie zawdzięcza możność stawienia czoła bojkotowi hakatystycznemu.

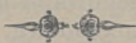
Zakończył się już i drugi proces o zaburzenia w Hucie Laury. Na ławie oskarżonych znalazło się ośmiu robotników polskich pod zarzutem, że to oni dali hasło do oporu władzy, uwalniając gwałtem z rąk żandarmów pierwszego z aresztowanych; że rzucali kamieniami, poranili policyantów i żandarmów, że zniszczyli i wrzucili do stawu sikawkę straży pożarnej, że zachęcali tłum do tłuczenia szyb w domach niemieckich. Dopuścili się zatem według aktu oskarżenia zbrodni zakłócenia porządku krajowego (Landfriedensbruch), za którą grozi kara ciężkiego więzienia i czasowa utrata praw obywatelskich.

Większa część świadków zeznawała na korzyść oskarżonych i nawet liczni świadkowie dowodowi, powołani przez prokuratoryę, nie byli zupełnie pewni, czy oskarżeni są rzeczywiście głównymi inicyatorami rozruchów. Ława przysięgłych, złożona z samych Niemców, przeważnie hakatystów, przychyliła się jednak do wniosku prokuratoryi, występującej ze zwykłą zaciętością i wyniosła następujące wyroki; górnik Gojny — 6 lat zuchthauzu, utrata praw obywatelskich i nadzór policyjny: blacharz Grajcarek — 5 lat więzienia zwykłego; robotnik Mrozek i górnik Burczyk $3^1/_2$ roku więzienia; cieśla Kot i górnik Karmus — 4 lata; robotnik Fabian — 3 lata; monter Weiss — $2^1/_4$ roku wiązienia.

Dla przedstawienia tych wyroków we właściwem świetle wystarczy je porównać z wyrokiem, który zapadł świeżo we Friedeburgu w Hesyi. Tam kilkudziesięciu chłopów niemieckich podczas wyborów zburzyło dom pewnego agitatora, ciężko poraniło jego żonę i syna oraz spieszących im na pomoc. Skazano ich za to jedynie na kary pieniężne od 30 do 200 marek.

Tak, bo to nie byli Polacy!

Pośrednik.



Obawa i nadzieja Francyi *)

Niezawsze wychodzi to nam na dobre, gdy się widzimy takimi, jakimi jesteśmy w istocie. Wiara w większe zdolności, niż posiadamy, jest siłą. Stosuje się to zarówno do jednostki, jak do narodów. Zapewne, próżność narodowa, przecenianie się naraża je na niebezpieczeństwo. Historya bowiem uczy, że skłonność do odurzania się pochlebnemi złudzeniami może zaprowadzić nad brzeg przepaści. Doświadczyła tego Dania w roku 1864 i Francya w 1870. Pierwszą tedy potrzebą po rozczarowaniu jest obowiązek otworzenia narodowi oczu, pokazania mu, że jego pozorna siła była niemocą i żywego uświadomienia słabości i błędów. Niewdzięczne to zadanie, którego nie można spełnić bez gwałtownego oporu, które jednakże jest najbliższem i nieuniknionem. Ale gdy je rozwiążemy, okazuje się, że w tem niezbędnem zmniejszeniu samopoczucia spoczywa równie wielkie niebezpieczeństwo jak w zarozumiałości. Wyobrażenie bowiem, jakie ma o sobie pewna grupa ludzka, pewna społeczność, jest siłą w jej usługach.

Życie jest tak dziwnie urządzone, że prawda niezawsze prowadzi do szczęścia. Główny bohater w utworze Renana, kapłan z Nemi, jest wielkim reformatorem, który sam się oskarża, że drażnił i wykorzeniał przesądy, na których opierało się samopoczucie jego rodaków. Z tymi przesądami byli oni rzeczywiście niewiele warci, ale bez silnej samowiedzy nie warci byli nic.

Wprawdzie naród, który nie ma odwagi spojrzeć w oczy rzeczywistości, jest narażony ciągle na to niebezpieczeństwo, że będzie nagle odarty ze swych rojeń. Żadne wszakże mniemanie nie jest tak dla niego groźnem, jak to, że cofa się i upada.

Już w epoce drugiego Cesarstwa było modnem we Francyi mówienie o upadku kraju. Renan, który nieraz bywał pesymistą, protestował jednak zawsze przeciwko podobnemu twierdzeniu. „Jeszcze jest dużo ducha we Francyi“—było jednem z jego ulubionych wyrażeń. Ale w ostatnich czasach upadek Francyi stał się ciągłym tematem w jej prasie i literaturze. Zwłaszcza dwa fakty sprawiły tam druzgocące wrażenie: naprzód to, że ludność stale się zmniejsza, podczas gdy w krajach sąsiednich szybko

*) Z tygodnika *Die Zukunft.*

---

nie, że stoją pochylone w przeciwne strony.

Wejście moje odwróciło jednak uwagę zebranych od gry i od książek. Zaczęliśmy gawędę o tem i o owem, o starych czasach, starych obyczajach i starym orężu. Każdy prawie z obecnych umiał trochę po angielsku, a resztę trudności usunął tłomacz. Dowiedziałem się, że najlepsze brzeszczoty wyrabiali w Bizen, że takie starodawne ostrze kosztuje półtora, nawet dwa tysiące yen (rubli), że zwie się „kot-too“ i że ich obecnie już nie robią.

— Taką szablę kuł majster lat dziesięć, szczycił się nią i wkładał w nią duszę... Teraz szable — inne, ciężkie, nieporęczne... Teraz potrzebna broń ognista...— mówili mi z pewnym żalem.

Ogromnie mi te rozmowy o słynnych orężach, o fechmistrzach, o ich sztukach i podejściach przypominały... pana Gerwazego, Maćka Rózgę i innych... Kilku z obecnych było synami „samurajów“— dawnej szlachty japońskiej, która nosiła „dwie szable — jedną, długą, na wroga, drugą, krótką, na siebie, aby umrzeć, gdy należało się wstydzić!..“

Mniej waży dziesięć tysięcy gór,
Niźli rozkaz władcy!
I za jeden włos życiem
Można czasem płacić!..

mówi starodawna pieśń samurajska. Potem śpiewaliśmy znaną piosenkę o sercu japońskiem:

Sziki szima no
Jamato gokoro wo
Hito towa bo
Asa hini nioo
Jama-zakura hana!

Jeżeli spytasz się
O serc japońskich tajniki,
Wskażą ci wiśni kwitnącej
Kołyszące się w słońcu okiście..
Jasne i wolne są one —
Takiem jest serce japońskie!

Rozumie się, że zwykłą rzeczy koleją rozmowa przeszła następnie na miłość, i młodzi ludzie na wyścigi pisali mi wiersze w notesiku:

Umiera noc wiosenna,
Lecz nie umiera ma miłość.
Minął znów wieczór,
Znowu noc nastąpiła głęboka,
I zgasła lampa oliwna
I leci serce ku Tobie..

O jakże słodko dźwięczy srebrne „kanzaszi“ w Twej [głowie,
Gdy stuka w biegu o ziemię Twoje drewniane obu-[wie!..

kreślił zarządzający gospodarstwem parowca Hirosawa!

— To nie moje wiersze — dodał skromnie — to wiersze słynnego poety!

— Poczekaj, ja ci lepsze napiszę... Też cudze, ale ładne!.. — przerwał młody samuraj Takimura.

Na spotniałym koniu
I w żelaznej zbroi
Minęła mi wiosna.
Gdym wracał, wiatr jeno
Omiatał twarz z kurzą,
A gdym się upijał,
Śnił mi się nie mędrzec,
Ale śniła mi się
Wciąż piękna kobieta!..

(D. n.).



wzrasta, powtóre straszny pogrom w 1870 roku, po którym odwet za pomocą wojny okazał się niemożliwy. Nadzwyczajny rozkwit handlu i przemysłu w Niemczech, ich od niedawna datujący się wpływ wszechświatowy, imponujące stanowisko Anglii, potężny rozwój siły Stanów amerykańskich obok ubóstwa Hiszpanii i Włoch, które utraciwszy zdolność rozpościerania się, przeżuwają tylko wspomnienia dawnych wielkości zdobywczych, nakoniec zwycięztwo Amerykanów nad Hiszpanią,— wszystko to przyczyniło się do wytworzenia wiary w upadek plemion państw łacińskich, a we wzrost anglo-saskich i germańskich.

Wielkie przeto wrażenie wywołała książka Demolins'a „Przewaga anglo-saska,“ która przed kilku laty nietylko wyjaśniła Francuzom, że ich prześcignięto, lecz nadto wykazała źródło tego rozwoju. Mianowicie wypłynął on stąd, że Francuzi są narodem, którego dzieci zawsze oczekują pomocy od swych najbliższych, u Anglosasów przeciwnie, każdy liczy tylko na siebie. Nawet nacyonalista Jules Lemaitre chwalił tę książkę. Wkrótce potem ukazała się praca Bazalgette'a pod tytułem: „Na czem polega niższość francuska?“, a jako jej dalszy ciąg: „Zagadnienie przyszłości plemion łacińskich.“ Z gorącą namiętnością szuka i znajduje autor przyczynę nędzy tego szczepu, zwłaszcza odnośnie do Francyi, w kościele rzymsko-katolickim. Że Reformacya rozbiła się we Francyi, że Edykt Nantejski został odwołany a protestanci wypędzeni, że wreszcie Rewolucya zawarła konkordat, a przez to przywróciła Kościołowi jego władzę— we wszystkiem tem Bazalgette widzi główną przyczynę nieszczęścia, które spadło na jego ojczyznę. Żaden obcy władca, wódz nie wyrządził krajowi nawet w przybliżeniu tyle szkody, co jego właśni, najsławniejsi monarchowie, Ludwik XIV i Napoleon, którzy każdy na swój sposób, poddali się Rzymowi.

Przeciwieństwem tych dzieł jest książka Emila Pierret'a „Duch nowoczesny.“ I ten pobożny autor przyznaje, że Francya spadła ze swej dawnej wysokości. Ale przyczynę widzi on w tem, że nietylko katolicyzm stracił władzę nad wielu duszami, lecz że rząd wszystko robi, ażeby zrzucić lekkie, dobroczynne jarzmo Kościoła. Spodziewa on się więcej od kobiet, niż od mężczyzn we Francyi. „Mężczyzna — powiada on — nie jest zbyt mocny i nie zdoła dokonać wiele złego, jeśli mu nie pomoże kobieta. Wie o tem bardzo dobrze antiklerykalny, ateistyczny, wolnomularski, rewolucyjny rząd, który jak góra przygniata Francyę, dlatego też w szkołach prywatnych i państwowych zwraca swe zamachy na kobietę. Z uznaniem przytacza on słowa, które inny Francuz napisał w r. 1879: „Wśród ludności robotniczej naszych miast, gdzie kobieta nie mniej jest bezbożna, niż mężczyzna, zepsucie, bezład, bezrząd dosięgnęły swego szczytu. W wielkich miastach związki robotnicze uległy rozprzężeniu, przewyższającemu wszystko, co tylko zepsuta wyobraźnia przedstawić sobie może.“ Dreszczem przejmuje go myśl o strasznych postępach, jakie rozkład moralny zrobił w ostatniem ćwierćwieczu — skutkiem ruchu, który sfery rządzące nazywają „posunięciem się naprzód.“

Karol Richet przed półtora rokiem powiedział w *Revue scientifique*: „Wielkie zjawiska socyologiczne pociągają za sobą nieubłagane losy. Za lat kilka Francya nie będzie wielkim narodem, lecz w porównaniu z potężnymi sąsiadami drobnym ludem, jak Portugalia i Dania.“

Łatwo tedy pojąć, że w czasie, kiedy najrozmaitsi pisarze, nawet z całkiem przeciwnych stanowisk, dochodzą do tegoż samego, upokarzającego uczucia narodowe wniosku, z radosnem zdziwieniem odczytano we Francyi książkę rosyjskiego socyologa Nowikowa: *L'expansion de la nationalité*, który Francuzom obwieścił duchowe panowanie nad światem. Autor z dobrym humorem i ufną wiarą w przyszłość odpowiada na wszelkie zarzuty i wątpliwości. Zmniejszanie się urodzeń, według niego, może być równie dobrze oznaką wysokiej cywilizacyi, jak upadku narodu. Jeżeli kiedyś sąsiednie ludy osiągną ten stopień kultury, co Francya, zacznie się u nich równie zmniejszać liczba narodzin. Zresztą słaby przyrost należy odnieść do przyczyn przechodnich. Francuzi byli w swojej ojczyznie zadowoleni i nie czuli żadnego popędu do wzmożonej produkcyi. Jeżeli popyt na „ręce“ objawi się, ludność wzrośnie. Za granicą, np. w Kanadzie, szczep francuski jest nadzwyczajnie płodny. Kanada stanowi najlepszą kolonię Francyi, jak Stany Zjednoczone — Anglii; to zaś, że Kanada jest politycznie oddzielona od Francyi, nie ma żadnego znaczenia. Nadto, liczebną słabość Francuzów sprowadziły wojny Rewolucyi i Cesarstwa; bez nich posiadałaby ona 59 zamiast 39 milionów ludzi. Nieprawdą jest również twierdzenie, że Francuzi nie umieją kolonizować. W r. 1648 zdobyta przez nich Alzacya stała się w ciągu dwóch wieków francuską, a tymczasem należąca od r. 1172 do Anglii Irlandya nie jest dotąd brytańską. Porażka wojskowa nie zawiera w sobie jeszcze upadku duchowego: po Rosbachu Francya, po Jenie Niemcy zapanowały duchowo nad światem. Rozprężliwość narodu polega głównie na języku, i Nowikow niezmordowanie dowodzi, że język francuski, chociaż między najbardziej rozpowszechnionymi zajmuje czwarte miejsce, z każdym rokiem rozpościera się coraz bardziej. Literatura francuska przyciąga i zachwyca bardziej, niż jakakolwiek inna, a dzięki swemu kosmopolitycznemu duchowi ma najwięcej czytelników. Z tych wszystkich względów wróży Nowikow, że Francya znowu odzyska duchowe panowanie nad Europą. Żaden inny naród nie wyzwolił się tak zupełnie z więzów średniowiecznych; tylko we Francyi powstały prawdziwe, nowoczesne instytucye. Wyższe warstwy używają wszędzie języka francuskiego, który za parę stuleci będzie mową ojczystą, literackim organem 300 milionów ludzi.

Jerzy Brandes.

Trochę cyfr.

Olbrzymiem udogodnieniem dla każdej pracy, tak zawodowej, jak społecznej w Niemczech jest łatwość znalezienia źródeł dla oryentowania się w każdej kwestyi. Inne państwa posiadają wprawdzie wydawnictwa statystyczne, lecz ileż to prawie wszędzie trzeba trudu, aby zbadać cyfrowo jakikolwiek przejaw działalności ludzkiej, gdy w Niemczech każdy fach, każda gałęź życia społecznego omówiona jest w wydawnictwach peryodycznych, broszurach, pisanych przez znawców, nie mówiąc już o grubych tomach. Szczególniej zaś zasługuje na zaznaczenie powszechna dążność do ułatwienia szerokiej publiczności zdobycia możliwie dokładnych informacyj za pomocą książek, ułożonych w sposób jasny i przejrzysty, stojących na wysokości wiedzy współczesnej, a jednak tanio kosztujących. Do rzędu takich wydawnictw należy *Rocznik statystyczny państwa niemieckiego* (Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich), którego 24 tom pojawił się obecnie. Jest to tom o 20 arkuszach druku z 2 mapami (gęstość ludności i stosunek wyznań) i tyluż tablicami (kasy chorych i handel zagraniczny), ułożony w taki sposób, że każdy profan z łatwością wszystko odnajdzie. Książka ta daje wyraźne odpowiedzi na większość kwestyj, jakie mogą powstać w głowie przeciętnego człowieka inteligentnego, niepatrzącego bezmyślnie na życie, które go otacza. Przytem cena całego dzieła wynosi tylko 2 marki, czyli niespełna rubla.

Z tego wydawnictwa chcemy wyjąć garść cyfr, opartych na ostatnim spisie ludności (w r. 1900). By nie przerazić czytelnika, uprzedzamy, że nie zamierzamy dawać całokształtu życia publicznego w Niemczech, pominiemy nawet niejedno ciekawe zjawisko, które było już dostatecznie komentowane w artykułach innych korespondentów *Prawdy*, a idzie nam tylko o poparcie danemi liczbowemi paru spostrzeżeń, które się mimowoli po przejrzeniu „Rocznika“ nasuwają.

Zaczniemy o gęstości zaludnienia, które, przy innych równych warunkach, gra dzisiaj nieraz rozstrzygającą rolę w walce między narodami lub państwami. Otóż w Niemczech całych w r. 1871 na 1 kilometr kwadratowy wypadało mieszkańców 74,9, gdy w 1900 — 104,7. Jeżeli zaś weźmiemy prowincye, zamieszkane przez Polaków, to znajdziemy, że odpowiednie cyfry wynoszą w Prusach książęcych (Wschodnich) 49,3 i 54, w Prusach królewskich (Zachodnich) 51,5 i 61,2, w Poznańskiem 54,7 i 65,1, a tylko w zgermanizowanym do $^{2}/_{3}$ Śląsku wyżej od przeciętnej, mianowicie 92 i 115,8. Jakże jednak i tej prowincyi daleko od takiej Saksonii, w której na 1 klm. kwadr. mieszka 280,3, przed 30 laty zaś 170,5 osób! Dla porównania powiedzmy, że w Królestwie cyfra ta wynosi 74,05, w Austryi 87,17, a w Rosyi europejskiej tylko 19,44, co się zresztą objaśnia olbrzymiemi, mało zaludnionemi przestrzeniami, które wzięte są pod uwagę przy obliczeniu. Królestwo zatem stoi dziś dopiero na tym stopniu rozwoju, na jakim znajdowały się Niemcy po wojnie francuskiej.

Tymczasem inny szereg cyfr, na który zwykle powołuje się wielu naszych optymistów, pozornie prowadzi do wręcz przeciwnych wniosków. Jeżeli weźmiemy mianowicie przewyżkę urodzeń nad śmiertelnością, to znajdziemy następujące dane za rok 1900: Ta przewyżka wynosiła na 1,000 mieszkańców:

Prusy Wschodnie .	12,3
„ Zachodnie ,	17,7
Poznańskie . . .	*19,5*
Śląsk	14,5
Berlin	8,6
Królestwo pruskie .	15,7
Niemcy (cesarstwo)	*15,1*

Prowincye polskie dają zatem bardzo wysokie, wyższe od przeciętnej, cyfry. Jedna tylko Westfalia wykazuje większą od Poznańskiego przewyżkę urodzeń. To zjawisko objaśnia się oczywiście przysłowiową płodnością naszego narodu, która zwycięża nędzne warunki hygieniczne, będące udziałem mas ludu, ale właśnie stopniowe polepszanie się warunków hygienicznych, pośród których żyją masy niemieckie, czyni, że z czasem dościgną one nas, jeżeli nie prześcigną pod tym względem. Podczas gdy w r. 1851 w Niemczech całych (dzisiejszych) przewyżka urodzeń wynosiła tylko 11,7, a między 1852 a 1858 r. nawet 8, niekiedy tylko 7 albo 4, to dziś podniosła się ona do 15,1. Przytem, cóż z tego, że u nas więcej dzieci się rodzi, niż ludzi umiera, kiedy wzrost ludności odbywa się w tempie daleko powolniejszem, niż w Niemczech, a to dlatego, że masy najcenniejszego materyału ludzkiego—robotników dorosłych, zmuszone są uciekać z kraju! Następująca tabelka wykaże to dobitnie. Wzrost ludności wynosił między r. 1816 a 1900 przeciętnie na rok w procentach:

Prusy Wsch. i Zach.	1,07
Poznańskie . . .	1,–
Śląsk	1,05
Prusy całe . . .	1,10
Saksonia (Królestwo)	1,51
Niemcy całe . . .	0,98

Jeżeli zaś rozbijemy ten peryod czasu na dwa okresy (1816—1855 i 1855—1900), to wyniki okażą się jeszcze smutniejsze. Ludność wzrasta bowiem o:

Prusy Wsch. i Zach. .	1,53 — 0,67
Poznańskie	1,37 — 0,68
Śląsk	1,27 — 0,86
Prusy całe	1,14 — 1,07
Saksonia	1,38 — 1,62
Niemcy całe	0,96 — 0,99

Zatem podczas gdy w Saksonii i całem państwie niemieckiem procent wzrostu ludności podnosi się, a w Prusach spada nieznacznie, to u nas obniża on się z przerażającą szybkością, a za ostatnie 45 lat we wszystkich trzech prowincyach, zamieszkanych przez Polaków, niższy jest, niż w państwie lub w królestwie pruskiem.

Sięgnijmy teraz wzrokiem do cyfr, które dadzą nam wyjaśnienie tej zagadki, to znajdziemy, że gdy z królestwa pruskiego wyemigrowało w 1902 r. na 100,000 mieszkańców osób *54*, z Niemiec całych — 56, to z Prus Zachodnich 125, a z Poznańskiego *207*. Wogóle zaś, gdy u nas emigracya, pominąwszy nawet chwilowe okresy gorączki, obejmuje stale masy, to wśród Niemców zmniejsza się ona od dłuższego czasu z każdym rokiem, i gdy przez porty niemieckie w r. 1881 opuściło Europę 143,951 Niemców oraz 57,363 osób, należących do innych narodowości, to w r. 1902 Niemców było już tylko 23,530, cudzoziemców zaś 221,432.

Widzimy zatem, że pomimo tych naszych „króliczych" właściwości nie postępujemy w stosunku do Niemców, ale raczej cofamy się i śmiało można powiedzieć, że emigracya groźniejszą jest dla nas od komisyi kolonizacyjnej i innych wymysłów hakaty. Przykład Irlandyi pokazuje jednak, że nawet przy emigracyi, wpływającej wprost na zmniejszenie ludności, naród może się nietylko utrzymać, ale nawet zyskać niejedno ustępstwo, choć z drugiej strony ta sama Irlandya dziś już na pewno cieszyłaby się daleko szerszemi zdobyczami, gdyby nie ogłupiający wpływ jej kleru, który odwracał systematycznie ludność od zagadnień społecznych oraz politycznych.

By wyczerpać kwestyę stosunków ludnościowych, powiemy jeszcze, że dziś można śmiało złożyć do składu starych rupieci pogląd, jakoby specyficzną cechą krajów polskich była obecność mas żydowskich — przynajmniej o ile się to tyczy prowincyj pruskich. Znajdujemy bowiem na 100 mieszkańców następującą ilość Żydów:

Prusy Wschodnie	0,7
„ Zachodnie	1,2
Poznańskie . .	1,9
Śląsk	1,—
Hessya . . .	2,2
Hessen Nassau .	2,5
Hamburg . . .	2,3
Berlin	4,9
Prusy całe . .	1,1

Wogóle zaś procent Żydów w państwie niemieckiem zmniejsza się; wynosił w 1890 r. 1,1, a w 1900 — 1%.

Przejdźmy do innej kwestyi. Dużo w ostatnich czasach dawało się słyszeć i czytać, że proces *koncentracyi kapitału* nie był wcale tak stałym, jak to początkowo utrzymywano. Wskazuje się przytem różne zawody, w których fabrykanci wolą oddawać pracę robotnikom, pracującym u siebie w domu, niż zatrudniać ich w fabryce. Takie przykłady istnieją bezwątpienia, ale jeżeli się weźmie cyfry, obejmujące produkcyę całego państwa, to zobaczymy, że one najmniejszego wpływu nie wywierają na ogólny obraz stosunków i że skupianie się kapitałów i pracujących postępuje krokami olbrzyma.

Od roku 1882 do 1895 wzrosła w Niemczech ilość zakładów przemysłowych o 4,6%, tymczasem ilość robotników, zatrudnionych w tych zakładach — o 39,9%, czyli przeszło *osiem* razy prędzej. Jeżeli zaś uwzględnimy tylko właściwy przemysł (zatem z wykluczeniem przemysłu rolnego i handlu, które do powyższej rubryki zostały wliczone), to znajdziemy jeszcze bardziej przekonywające cyfry; tu bowiem ilość zakładów *zmniejszyła* się o 5,4%, ilość robotników powiększyła się o 34,8%. Zaś podzieliwszy zakłady te na kategorye, znajdujemy, że:

W małych zakładach (1—5 rob.) ilość zakładów zmniejsza się o 8,6%, ilość robotników zmniejsza się o 2,4%.

W średnich (6—50 rob.) ilość zakładów rośnie o 64%, robotników o 71%.

W wielkich (51 rob. i wyżej) wzrost ilości zakł. wynosi 89%, ilości rob. 87%.

Mamy zatem olbrzymi wzrost wielkiego przemysłu obok cofania się małego, a powiększania ilości robotników, czyli zbliżania się do typu wielkoprzemysłowego w średnim.

O tem, że *samobójstwa* stają się zjawiskiem coraz bardziej powszedniem, nie potrzeba chyba mówić. Ale tu pocieszyć się możemy: gdy w Poznańskiem na 100,000 mieszkańców wypadło w 1901 r. 10 samobójstw, a w Prusach Zachodnich — 15, to na Śląsku już 24, w Szlezwiku — 29, a Szwarzburgu Sondershausen aż 54.

Szkoła niemiecka do niedawna uchodziła za wzorową; my mieliśmy co prawda sposobność nabrać o jej wartości cokolwiek odmiennego zdania, ale ze statystyki możemy się przekonać; że rząd pruski nietylko nasyła nam na stanowiska nauczycieli wyrzutki społeczeństwa, ale oprócz tego wogóle dba mniej o szkołę w prowincyach polskich, niż w niemieckich. Jeżeli bowiem weźmiemy ilość uczniów, przypadających na jednego nauczyciela i ilość marek, wydawanych przez rok na 1 ucznia, to otrzymamy następujące cyfry:

Poznańskie . . .	uczniów	74	marek	35
Prusy Wschodnie . .	„	62	„	39
Prusy Zachodnie . .	„	66	„	38
Królestwo pruskie . .	„	63	„	48

Na zakończenie parę *curiosów*, które nawet tak sucha nauka, jak statystyka, wykazuje. W państwie niemieckiem jest 40 osób, mających więcej niż 100 lat, a między niemi aż 36 wdowców i wdów, z czegoby można wywnioskować, że ten stan utrzymuje ludzi najdłużej przy życiu. Kobiet zamężnych, mających mniej niż 18 lat, jest 4,921, a i mężczyzn dość pokaźna ilość — 562. Ale co ciekawsze, to że jest 154 wdów w tym wieku, i nawet 14 wdowców. Wreszcie trojaczki urodziły się 1901 r. w 241 wypadkach, a w jednym — nawet „czworaki."

Kto się zaś chce więcej dowiedzieć, tego odsyłam do samej książki.

Aleks.

Z kursów akademickich

W SALCBURGU.

—◆—

V.

Sombart broni swego *spirytualizmu* (tem mianem ochrzcił w Salcburgu swą teoryę) przed zarzutem dwoistości, wykazując bezpośrednią zależność „ducha" od otoczenia, w którem powstaje, wśród którego się rozwija i w które się w końcu tylko przy sprzyjających warunkach zewnętrznych wcielić może. Uroczyście, z gestem proroka ogłosiwszy światu nową wiarę, powraca chyłkiem do porzuconego jawnie stanowiska, maskując odwrót nieokreślonością wyrażeń „otoczenie," „zewnętrzne warunki." I tak np. według Sombarta, stała równowaga zbytu warunkuje istnienie „ducha" rzemieślniczego. Ta równowaga jest wytworzona przewagą ilościową popytu nad podażą towarową wieków średnich. Ludność miejska, trudniąca się rzemiosłem, słabo się rozwija, bo niema jeszcze chłopów bezrolnych a wolnych, którzy w pogoni za zarobkiem masami tu spływają, nauka zawodowa trwa długo, lat 4, 5 i więcej, bo kształci człowieka na samodzielnego pracownika, a tempo pracy jest wolne, bo czas to jeszcze nie pieniądz. Rzemieślnik wytwarza mało, nieraz mniej, niż trzeba, więc znalezienie odbiorcy trudności mu nie sprawia. „Duch" rzemieślniczy, duch pracy w miarę potrzeb, spokojnych wywczasów, rozwija się z tej pewności jutra, która w gospodarce kapitalistycznej ustępuje przed gorączką walki konkurencyjnej, ciągłych ulepszeń technicznych, narzucających się każdemu, kto zdruzgotanym i zdeptanym być nie chce. „Duch," „warunki," są tu tylko — sposobami wytwarzania w pewnym stopniu rozwoju sił produkcyjnych, którego pozornie Sombart wcale nie uwzględnia.

Polemizując z programem partyj drobnomieszczańskich, którym zarzuca historyczną utopijność, tj. stawianie żądań, będących w sprzeczności z daną epoką historyczną, podnosi Sombart ze stanowiska „spirytualistycznego" znane już argumenty, że wytwórczość rzemieślnicza nie jest w stanie podołać kulturalnym upodobaniom tak gęstej ludności, ani nawet sprostać jej potrzebom, że patryarchalizm w stosunkach między pracodawcą i robotnikiem musi zginąć wraz z ustaniem wspólności interesów, których był niegdyś znamieniem zewnętrznem itd. Wobec wielkości obrotów rynkowych, żywego tempa życia gospodarczego, walki i niepewności jutra, utopią wydaje się Sombartowi powrót do dawnego ducha, przyczem „duch" ten służy ciągle za osłonę poznania, wypływającego z biegu myśli, że formy, odpowiadające drobnej, rzemieślniczej wytwórczości, nie dają się pogodzić z nowoczesnemi siłami produkcyjnemi i opartą na nich cywilizacyą.

Genezę nowoczesnego ducha kapitalistycznego wyprowadza Sombart z gorączki złota, która w zetknięciu z całokształtem urządzeń społecznych u schyłku wieków średnich przeobraziła się w gorączkę zysków. Z protestu przeciwko przygniatającej nas przewadze życia gospodarczego powstaje „duch" nowy, szukający wyzwolenia z pod jarzma pracy zarobkowej, wolności wkroczenia w dziedziny, gdzie o bycie rozstrzyga znów jakość, nie ilość. Precz z zarobkowaniem!—oto hasło nowego „ducha," rozkuwającego z więzów smutnej szarzyzny całodziennego kupczenia pracą, towarem czy pieniądzem, tych wszystkich, których troska o byt przykuwała do rydwanu kapitału. To hasło! „precz z zarobkowaniem:" pojawia się jako program życiowy najpierw w duszach jednostek wybranych, które szukają nowej miary oceniania zjawisk, porzucają dla piękności liczbę i przeciwstawiają ilości jakość.

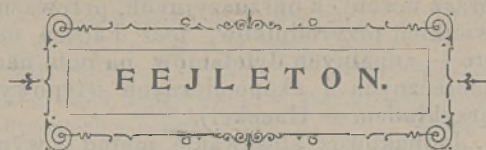
Przewrót umysłów dokonywa się najpierw ponad powierzchnią, która kryje życie gospodarcze w swych toniach — ale go też nie zmienia. A więc zejść musi wewnątrz w same głębie i przeciw potęgom dotychczasowym uzbroić nowe, przebojem wejść w dziedziny, w których dotychczas panował duch stary i tu z nim stoczyć walkę. Obrona indywidualności, oto jedno z najważniejszych zadań nowego „ducha," który według Sombarta, wcielać się począł w życie społeczne wraz z pierwszą ustawą o ochronie robotnika. Rzemieślnik żył swą pracą, był i w pracy człowiekiem; robotnik fabryczny człowieczeństwo swoje częstokroć dopiero poza fabryką znaleźć może. Technika nowoczesna, rozdzielająca pracę na drobne cząsteczki, każe chronić człowieka przed kawałkującem mu duszę zajęciem, bronić jego indywidualności przed zatonięciem w życiu gospodarczem,

którego fale piętrzą się do takiej wysokości, że zalały już szczyty i stoki gór najwyższych, plakatami, hotelami, kolejami, automatami. Sombart dla natury i człowieka domaga się wyzwolenia z jarzma gospodarki.

Wolnościowe hasła liberałów stworzyły poddaństwo nowoczesne, wśród którego obok pysznie głoszonej swobody, konieczność zarobkowania wszystkie karki jednakowo w dół chyli, po grosz czy po miliony. W ukróceniu solidarnem gospodarczej swobody jednostki, widzi Sombart podstawę, na której powstać może rzeczywista, bo duchowa, swoboda ogółu. Zaczątkiem organizacyi gospodarczych, będących przejawem nowego „ducha,“ są stowarzyszenia spożywcze, produkujące dla swych członków, oraz rozmaite miejskie i państwowe instytucye, zacieśniające granice spekulacyi, ustalające zbyt. „Duch“ nowy Sombarta jest protestem człowieka przeciwko przewadze rzeczy, przeciw panoszeniu się liczby; duch poprzednich epok, według własnych słów Sombarta, „nie zlatuje też z niebios, lecz tkwi głęboko w określonem otoczeniu, jest objektywnie zawarunkowany własnem środowiskiem.“ Cofając się przed zarzutem dualizmu, uzależnia Sombart działanie górujących pobudek „ducha“ od istnienia objektywnych danych, które jeszcze przed wcieleniem się jego w gospodarkę noszą odpowiedni mu charakter. W ten sposób wytwórczość rzemieślnicza wyprzedza lubującego się w ciasnych granicach „ducha“ rzemieślniczego, a kapitalizm — gorączkę zysków, której jest przejawem! Charakteryzując środowisko, „spirytualista“ Sombart bada wyłącznie i jedynie stosunki gospodarcze, stan ekonomicznego rozwoju, zdradzając tem ogromną zależność od materyalizmu dziejowego, któremu zarzuca punkt widzenia „mechaniczny,“ człowieka z oczu tracący. Zarzut to niesłuszny. Marx w rozdziale o „fetyszyzmie“ („Kapitał,“ tom I) wykazuje, że stosunki gospodarcze są w istocie stosunkami nie między rzeczami, lecz między ludźmi — ale chcenie i wola tych ludzi otrzymują treść i formę określoną z warunków bytu społecznego, ze sposobów produkcyi i reprodukcyi codziennego życia. Sombart, próbując skrzydłami swego „ducha“ wzbić się w podniebne wyżyny, opada coraz niżej i błąka się tak długo nad ziemią, aż znajduje pewny punkt oparcia w objektywnych danych, *w sposobach produkcyi*.

W Breysigu i Sombarcie poznali słuchacze nowy typ profesora, zrywającego z rutyną, podkreślającego swą indywidualność i z pięknym gestem dającego, lub dać przynajmniej chcącego przedewszystkiem, samego siebie. Obaj, esteta w ekonomii Sombart, jak i esteta w historyi Breysig, spowodowali żywe zajęcie i wywołali niemilknące spory, których źródło leżało bądź w proteście, bądź w przejęciu się zasłyszanem zdaniem. Jednemu i drugiemu, przypisać należy tę chęć poznania osobistości żywych, ludzi stojących w osobistym, bezpośrednim do nauki stosunku, która się obudziła w słuchaczach kursów salcburskich. Na pytanie, czy w Salcburgu należy się pierwszeństwo prywatnemu, klerykalnemu, czy też narodowo-niemieckiemu, państwowemu uniwersytetowi, uczestnicy tegorocznych kursów jedną mają odpowiedź: żądanie *uniwersytetu wolnego*, dającego ludziom nauki, profesorom, czy też uczonym ze sfer pozauniwersyteckich, zupełną swobodę słowa, bez względu na ich przekonania religijne, społeczne i polityczne.

Helena Gumplowicz.



FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Znaczenie ostatniej fali w sztuce.

Patrząc na ciągły przybór bezsensu, zalewającego z wielkim szumem naszą literaturę, ludzie przerażeni załamują rozpaczliwie ręce, bo zdaje im się, że ta powódź zniszczy ją zupełnie. Rzeczywiście widok jest niezwykły. Dotychczas bowiem we wszystkich warstwach i przełomach rozwoju twórczości społeczeństw starsze pokolenia walczyły z młodszemi o zasady, wątki i formy, które dla obu stron były zrozumiałe, ale nie dla obu słuszne i właściwe. Klasycy, powstając przeciwko romantykom, rozumieli ich poematy, nie godzili się tylko na ich treść i język. Co innego obecnie. Utwory „nowej sztuki“ są przeważnie dla wyznawców dawnej wiązankami barwnych wyrazów bez żadnego znaczenia i logicznego związku. Równie dobrze można je czytać z góry na dół i wprost, jak z dołu do góry i wstecz. A nie zachodzi tu bynajmniej różnica wiedzy lub chwytliwości umysłowej. Jeżeli nowator powiada: stare, tępe głowy mnie nie pojmują, ale ja sam siebie pojmuję wraz z gronem wybranych, które kiedyś się pomnoży — to ma racyę i prawo do takiej mowy. Ale w obecnym wypadku tak nie jest. Sami bowiem kapłani nowej sztuki wyznają szczerze, że oni jasno nie zdają sobie sprawy ze swych natchnień, że to jest wogóle niepotrzebne, a nawet szkodliwe. Ktoś opowiadał mi, że gdy pewnemu znakomitemu autorowi tej kategoryi zwrócono uwagę na zupełną ciemność jakiegoś wyrażenia w dramacie, odrzekł zadowolony: „To dobrze, bardzo dobrze. A pokaż mi pan miejsca zrozumiałe, to je zmienię.“ Bezsens tedy i zawiłość nie są dziełem przypadku lub nieudolności, lecz świadomego zamiaru.

Z tym znakiem rozwinął swoją chorągiew nowy okres naszej literatury poetyckiej. Do czego to głupstwo dojdzie?— pytają starzy świadkowie tej dziwnej procesyi? Chcę dziś właśnie nad tem się zastanowić.

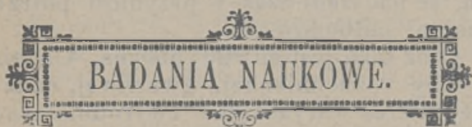
Ściśle ważąc, nie można twierdzić, ażeby płody nowoczesnego estetyzmu były całkowicie pozbawione sensu. Czasem istotnie odszukać go niepodobna, czasem błyszczy on iskierkami robaczków świętojańskich w nocy, a czasem przegląda wyraźnie z pod przejrzystej zasłony. Ale gdyby nawet we wszystkich wytworach modernizmu, dekadentyzmu i wizyonizmu nie było więcej oleju, niż w ziarnach jednego słonecznika, jeszcze i wtedy należałoby przyznać, że nie spalą się one w literaturze jak bengalskie ognie, lecz pozostawią w niej skutek trwały. Jaki?

Niema tak potężnych geniuszów, którymi by ludzkość mogła żyć wiecznie. Największe olbrzymy są zamknięte w ramach pewnego czasu, a najnieśmiertelniejsze dzieła zaczynają powoli umierać od dnia swych narodzin. Nadto tacy ludzie i takie ich twory obok ogromnej korzyści wyrządzają potomnym dotkliwą szkodę. Stają się bowiem ich prawodawcami, wyznaczają dla ich rozumu i uczuć niezmienne tory, wyrabiają formy, według których ciągle i długo odlewać się muszą ich myśli i natchnienia. Arystoteles zakuł filozofię w kajdany na całe wieki, jej niewola u Kanta nie skończyła się dotąd. Toż samo w poezyi. Goethe, Byron, Mickiewicz, Słowacki — to straszliwi tyrani, których władza przygniotła tysiące poetów. Co w ich rękach i w swojej porze było wspaniałą nowością, to później w rękach ich odległych następców stało się pospolitym szablonem i pognębieniem oryginalności. Pojawiły się duchy odmienne, ale nie dość silne, aby złamać powagę mistrzów i dać światu swoje wzory; odciskały się więc na tych matrycach, urozmaicając je tylko drobnymi szczegółami. Powoli wszakże nawet najmocniejszy wpływ wyczerpuje się, przestaje działać hypnotycznie, jego więzy rozluźniają się, a skutkiem tego wysuwa się z nich początkowo nieśmiała, później coraz odważniejsza samodzielność. Bo nie zawsze tytani pokonywają tytanów, czasem buntują się przeciwko nim cyklopi i zwyczajni śmiertelnicy, którym pobudki i męztwa dodaje odczute przeświadczenie ogółu, że nadszedł czas i przyniósł potrzebę zmiany półbogów.

Otóż taką jest chwila obecna. Chociażbyśmy różnoimiennej, gwarliwej, cudacznej, nieraz waryackiej i zwyrodniałej rzeszy, która apostołuje i stwarza nową sztukę, odmówili wszystkich przymiotów trwałego znaczenia, nie możemy jej odmówić jednego: że chce być i jest oryginalną. W jej robotach i wywodach nie można dostrzedz ani kształtu tych naczyń, ani smaku tego wina, które zastawiano w minionym okresie na stołach biesiadnych Parnasu; obmyślili oni sobie swoje dzbany i napełnili je fermentującym, gorzko-cierpkim, niesmacznym i niezdrowym nektarem własnym, którym upijają się do szału i bezprzytomności. Steroryzowani smakosze starego miodu, skosztowawszy tego świeżego napoju młodości, z wykrzywioną twarzą i osłupionemi oczami mówią: doskonały trunek; czuć w nim zapach najpiękniejszych kwiatów Olimpu. Rzadko który ma odwagę splunąć i zawołać: a cóż to za przeklęta lura! Taki bowiem uważany jest za prostaka, który raczy się fuzlową gorzałką i zrazami z kaszą, a nie zna się na wytworności absyntu i udek żabich. Jak temi udkami i absyntem, tak dekadencko-modernistyczną sztuką ludzkość długo karmić się nie może, ale w tym chwilowym jej guście trzeba widzieć potrzebę, która szuka innych zadowoleń, niż dotychczasowe. Nie są to jeszcze chrzciny nowych ideałów, ale już pogrzeb starych. Młode pokolenie dzwoni na jutrznię odrodzenia, ale społeczeństwo, zebrawszy się na nabożeństwo, odprawiane przez reformowanych kapłanów, widząc czarowniczy sabat i słysząc jakieś niezrozumiałe pokrzyki, rozumie tylko, że dawny kult umiera i nowy po nim nastąpi. Tłum, stojący po za drzwiami i ścianami modernistycznej bóżnicy, której śpiewy, modły i kazania są dla niego całkiem niepojęte, z westchnieniem i smutkiem przekonywa się, że nie ocali czczonych dotąd wierzeń i świętych patronów swej myśli. Jakieś niewidzialne ręce walą młotami w mury świątyni sztuki i rozbijają je na gruzy, z których, czy też na których ma powstać inna. Gdybyśmy te pasma gorączkowej maligny, w której nieraz nawet pojedyncze wyrazy są zagadkowe, a ich wiązania zwykle bezsensowne, chcieli uważać za objawienie, a te fantastyczne, tajemniczym mrokiem, wyciem i jękiem napełnione budowle z frazesów — za trwałe pomniki, mogłaby nas słusznie opanować trwoga o przyszłe losy ducha ludzkiego. Ale jeśli je przyjmiemy za targanie i zrywanie pęt szablonu, za bunt przeciwko zesztywniałym formom i wyjałowionym ideom, bunt, który nie ma jeszcze dość siły, ażeby nowe wzory stworzyć, ale ma dość odwagi, ażeby stare usunąć, to musimy najdzikszym rozpędom w sztuce współczesnej przyznać wpływ zbawienny. Są one dopiero wichurą, która szaleje, wyrywa z korzeniami drzewa, pędzi

tumany kurzu, przewraca wszystko, co na drodze spotka, zaćmiewa chmurami słońce, ciska pioruny, ale oczyszcza powietrze i podnieca życie do rozwoju. Można bez trudu i obawy prorokować, że po obecnej burzy nastąpi słoneczna i orzeźwiająca pogoda, że w jej świetle przyjdą geniusze, które zaczną stwarzać w sztuce pomniki trwałej wartości, a olśnione przez nich dusze powoli nasiąkać będą ich promieniami. Nie żałujmy przytem żadnych bohaterów, którzy dotychczas nam przewodniczyli, bo oni skończywszy swoją rolę, zajmą zaszczytne miejsce w historyi — czyli — osiągną to, co człowiek w najwyższej swej potędze zdobyć może. Jego nieśmiertelność rozciąga się tylko do granic ludzkiej pamięci, ale nie sięga do kresu ludzkich potrzeb.

Poseł Prawdy.



Darwinizm w socyologii.

Jak wiadomo, istnieje cała szkoła darwinistyczna w socyologii, albo, ściślej mówiąc, szkoła biologiczna, która przenosi bezpośrednio do socyologii metody i wnioski nauk przyrodniczych. Jeden poddział tej szkoły kładzie nacisk na analogię między społeczeństwem a organizmem; drugi, specyalnie darwinistyczny, buduje cały gmach swej wiedzy na ideach walki o byt i doboru najlepiej przystosowanych; trzeci wreszcie łączy jedno z drugiem, nie uważając, czy nie chcąc zauważyć sprzeczności, jakie wynikają z idealizowania, pod względem znaczenia i wartości, walki bezwzględnej o byt w łonie organizmu, zawarunkowanego przecie celowym podziałem pracy, podporządkowaniem cząstek — całości, oraz solidarnością wszystkich cząstek, opieką całości nad każdą cząstką, opieką konieczną wskutek odczuwania przez całość cierpień i krzywd każdej cząstki.

Jakeśmy już przy innej sposobności systematycznie wykazali *), wszystkie te odłamy szkoły biologicznej w socyologii służą apologii ustroju mieszczańskiego. Jedni adepci tego kierunku sądzą, że upodobniwszy społeczeństwo do organizmu, przekonają warstwy pracujące o potrzebie i pożytku poddawania się kierownictwu wyspecyalizowanego „mózgu społecznego“ oraz oddawania bez żalu na korzyść tego mózgu — lwiej części wytworzonych przez siebie soków żywotnych. Drudzy widzą pewniejszy argument w walce o byt. Podług nich, jak w naturze, tak i w społeczeństwie walka o byt gotuje zgubę słabszym, czyli gorszym, zwycięztwo — silniejszym, czyli lepszym, z czego wynika z jednej strony, że ci, którzy dziś panują i posiadają, znajdują się w tem położeniu dzięki swej wyższości nad resztą, w drugiej — że pozostawiony samemu sobie bieg walki o byt i na przyszłość jest najlepszą rękojmią doskonalenia się rodu ludzkiego. Nauki przyrodnicze, w szczególności—biologia, które, tak specyalnie przez wznoszące się mieszczaństwo popierane i rozwijane, odegrały wielką rolę rewolucyjną, biły taranem w cały światopogląd średniowieczny, w drugiej połowie XIX stulecia, gdy mieszczaństwo stało się już prawie wszędzie klasą panującą i z kolei zaczęło bronić swego uprzywilejowanego stanowiska, zostały zużytkowane w powyższy sposób przez uczonych burżuazyjnych, przeważnie wielkich przyrodników, lecz bardzo często — zupełnych dyletantów na polu nauk społecznych i ekonomicznych (typowym przykładem — Haeckel).

Jednakowoż stosowanie metod i wyników nauk przyrodniczych do socyologii na tem skończyć się nie mogło. Również we wspomnianej wyżej pracy zaznaczyliśmy już, że socyologom burżuazyjnym nie pozwolono zmonopolizować biologii. Rewolucyjne w dziedzinie umysłowej znaczenie nauk przyrodniczych, ich powaga, oparta na ścisłości metod i praktycznej wartości zastosowań, sprawiły, że i przedstawiciele nowych warstw opozycyjnych, zrywający na wielu punktach z ideami mieszczańskiemi, lecz z drugiej strony pod wieloma względami doprowadzający te idee do dalszych, przez burżuazyę porzuconych lub zaniedbanych konsekwencyj, cenili wysoko te nauki i zapragnęli nietylko obalić wysnute z nich zarzuty, ale przeciwnie, oprzeć na nich swe dążenia i ideały społeczne. W tym celu wysunęli naprzód ideę również zupełnie naukową, wytworzoną już i uzasadnioną przez dawniejsze systemy filozofii powszechnej, zarówno Heglów, jak Comte'ów: że każda wyższa dziedzina zjawisk we wszechświecie, jakkolwiek opiera się na wszystkich niższych, zawiera jednak coś nowego, szczególnego, co uniemożliwia stosowanie w niej praw dziedzin niższych bez odpowiednich poprawek, dopełnień i zmian. Zgodnie z ogólnym charakterem uspołeczniającym i gospodarczym swych idei, przedstawiciele teoretyczni nowych warstw opozycyjnych położyli specyalny nacisk na nowe, czysto społeczne, dziedzinie przyrodoznawstwa całkiem obce i nieznane czynniki, cechujące specyalnie życie społeczne, a mianowicie: zrzeszenie i solidarność, oraz technikę, i próbowali wykazywać, że w tem nowem środowisku połączenie jednostek w całość posiada zupełnie inny charakter, niż w organizmie lub w kolonii zwierzęcej, walka o byt oraz dobór najlepiej przystosowanych przybierają formy zupełnie nowe, do odmiennych wniosków praktycznych prowadzące. Wspomnieliśmy wówczas z jednej strony o Wallace'ie, który był przyjacielem Darwina, współtwórcą darwinizmu, a zarazem — zwolennikiem unarodowienia ziemi i ostrym krytykiem kapitalizmu, z drugiej — głównie o socyologach rosyjskich i polskich, jako tych, którzy prowadzą dzieło rewizyi burżuazyjnego socyal-darwinizmu i zużytkowania przyrodniczych punktów widzenia w socyologii dla nowych ideałów społecznych.

Obecnie przyswojono naszej literaturze książkę niemieckiego pracownika na tem samem polu, Ludwika Woltmanna, p. t. „Teorya Darwina i demokracya społeczna“ *). Zawiera ona przedewszystkiem dość obszerny i szczegółowy przegląd literatury społeczno-darwinistycznej, zarówno dzieł obrońców kapitalizmu, nierówności i anarchii gospodarczej (Jäger, Virchow, O. Schmidt, Preyer, Spencer, Huxley, Gaupp, Weissmann, Kidd, Tille, Ammon, Ziegler — smutna lista wielkich nazwisk przyrodoznawstwa, które przeważnie w obcej sobie dziedzinie socyologii i ekonomii poprostu okryły się śmiesznością, lista, do której dodaćby można imiona Lebona, Lapouge'a, Nowikowa i in.), jak myślicieli mieszczańskich także, ale ostrożniejszych, krytyczniejszych i w różnym stopniu ulegających wpływowi nowego humanitaryzmu (od Wagnera i Schmollera, przez Schäfflego, Ritchiego, L. Steina, aż do Langego, Herknera i etysty Förstera), jak wreszcie tych właśnie, którzy obalają burżuazyjną karykaturę darwinizmu społecznego i na analizie społecznie zmodyfikowanej walki o byt opierają żądanie nowego ustroju. Kto nie był z tą sprawą dostatecznie obeznany, kto wierzył na tym punkcie w modną gadkę „jednostronności marxistycznej,“ ten będzie zapewne zdziwiony wielką ilością nazwisk w tym rozdziale, nazwisk najwybitniejszych pisarzy wymienionego obozu, jak Kautsky, Bebel, Liebknecht, Lafargue, Bernstein, Cunow, którzy już od roku 1873, i później, przed wyjściem jeszcze głośnej książki Henryka Ferri'ego na temat „Darwin — Spencer — Marx,“ tem zagadnieniem społeczno-biologicznem się zajmowali. Jednakowoż niewiadomość ogółu na punkcie tej literatury nie powinna nas dziwić; przecie od niedawna dopiero „szersza publiczność“ raczy zwracać na ten kierunek uwagę, a jaki los spotkał dawniejsze utwory, tego przykład daje nam Woltmann: Studyum Jerzego Stiebelinga „Demokracya społeczna i darwinizm,“ N. York, 1879, niema w handlu księgarskim, gdyż syn autora, przeciwnik przekonań ojca, miał czelność zniszczyć wszystkie egzemplarze! Streszcza tu dalej Woltmann także poglądy myślicieli pokrewnych, choć nie-marxistów, przeważnie Anglików i Francuzów, jak np. Grant-Allen, Paerson, Bouchez i inni. Bibliografię tę możnaby jeszcze znacznie pomnożyć i dopełnić; że wspomnę np. o ciekawej rozprawie młodo zmarłego dr. Ludwika Drumonda p. t. „Transformisme et socialisme,“ ogłoszoną w r. 1885 w paryskiej *Revue S.*, z której i Ferri po części korzystał. Jednakowoż i tak jest ona dość bogata i sumienna; czego w niej tylko zupełnie brak, to dzieł pisarzy rosyjskich i polskich, które jednak, ze względu na gruntowne, poważne i filozoficzne traktowanie kwestyi, jakiem się przeważnie odznaczają, bardzo zasługują na poznanie przez ludzi, omawiane zagadnienie rozważających. Co do pierwszych (Mirtow, Michajłowskij, Jużakow i inni), to szczegółowsze wskazówki znajdzie czytelnik w Karejewa „Wstępie do socyologii“; do drugich — jeszcze powrócimy.

Jeżeli biologowie burżuazyjni, którzy przenieśli żywcem walkę o byt i dobór naturalny do socyologii, odznaczali się przeważnie zupełną ignorancyą w dziedzinie nauk społecznych i specyalnie ekonomicznych oraz gruntownem niezrozumieniem nowego prądu dziejowego, to twórca nowej szkoły socyologicznej, Karol Marx, wręcz przeciwnie, był dokładnie obeznany z naukami przyrodniczemi i głęboko przeniknięty odnawiającym je i rewolucyonizującym, wraz z niemi, cały pogląd na świat, prądem transformizmu. Wilhelm Liebknecht w swych ciekawych wspomnieniach osobistych o wspólnie spędzonych czasach londyńskich *) pisze: „Specyalnie w dziedzinie nauk przyrodniczych, nie wykluczając fizyki i chemii, a z drugiej strony — historyi, Marx (który, jak skądinąd wiemy, był dobrym matematykiem) śledził każde nowe zjawisko, notował każdy postęp; Moleschott, Liebig, Huxley, na którego wy-

*) Rzut oka na rozwój socyologii w XIX stuleciu, § 6 (w zbiorowym dodatku do *Prawdy* p. t. „Wiek XIX.“)

*) Tomy XVI—XIX „Biblioteki samokształcenia.“ Tłomaczka p. I. Moszczeńska, z zadania swego wywiązała się nagół zadawalająco, jakkolwiek brak dostatecznego obznajmienia z niemiecko-filozoficznym sposobem myślenia i z odnośną literaturą daje się, niestety, odczuć. W jednym wypadku brak ten spłatał tłomaczce okropnego figla. „Wszystko, co ma koniec, usiłuje się podnieść:“ taką myśl przypisuje tłomaczka (str. 33) Heglowi! „Alles, was Ende hat, strebts ich aufzuheben“ — musi pewno stać w oryginale, co znaczy: wszelka rzecz *skończona* dąży do tego, żeby *się znieść*, przestać być sobą: kwintesencya dyalektyki heglowskiej. — Dalej, tytuł zasadniczo ważnego dzieła Engelsa: „Herrn Dührings Umwälzung der Wissenschaft,“ jest źle przetłomaczony (str. 44). Zamiast: „Przekręcanie nauki pana Dühringa“ powinno być: „Przewrót w nauce, dokonany przez p. Dühringa.“

*) „Karl Marx zum Gedächtniss.“ Norymberga, 1896, str. 50.

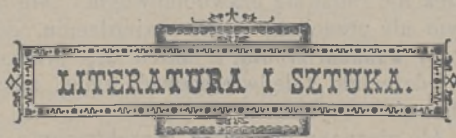
kłady popularne sumiennie uczęszczaliśmy, byli w kole naszem przedmiotem rozmów równie często, jak Ricardo, Adam Smith, Mac Culloch i ekonomiści szkoccy i włoscy. Gdy zaś Darwin wyprowadził wnioski ze swych badań i przedstawił je publiczności, to przez szereg miesięcy nie mówiliśmy o niczem innem, tylko o Darwinie i o sile przewrotowej jego zdobyczy naukowych.“ Fryderyk Engels zaś, nieodłączny współpracownik Marxa i współtwórca całej jego teoryi, sam pisze o sobie w swym „Antidühringu,“ że około dziesięciu lat życia, już jako dojrzały człowiek i pisarz, już w Angli, poświęcił na systematyczne studyowanie nauk przyrodniczych; w tejże książce, w dwóch rozdziałach (VII i VIII części I) broni teoryi Darwina od bezsensownych napaści Dühringa i popularnie ją wykłada. Marx i Engels nie zajęli się wprawdzie nigdy systematycznem ugruntowaniem socyologii na podstawach biologicznych; nie pozostawiły im na to czasu ich badania specyalnie socyologiczno-ekonomiczne, ponieważ za najważniejszą i najpilniejszą rzecz uważali oni—dać klucz do zrozumienia przekształcenia społecznego, odbywającego się w naszych czasach, i wszelkie uogólnienia społeczno-filozoficzne wysnuwali do pewnego stopnia okolicznościowo. Nie ulega jednak kwestyi, że we wszystkich ich dziełach tkwi jedna ogólna teorya, czy może lepiej metoda, jeden powszechny światopogląd, który Engels nazywa materyalistyczno-dyalektycznym a który jest im wspólny z Darwinem i z całym wielkim prądem nowożytnej filozofi przyrodoznawczej.

Woltmann również to stwierdza, nazywając „materyalizm dziejowy“ Marxa dalszym ciągiem materyalizmu przyrodniczego Darwina. Otóż ten sposób wyrażania się jest, prawdę mówiąc, nieścisły. Jeśli przez materyalizm mamy rozumieć to, co się zwykle rozumie, czyli system filozoficzny, sprowadzający do materyi wszystkie zjawiska wszechświata, nie wykluczając w szczególności zjawisk duchowych, to oczywistym błędem jest przedewszystkiem—mówić o materyalizmie u Darwina, ale błędem jest również z takim materyalizmem utożsamiać „materyalizm historyczny“ szkoły marxowskiej. Niedawno rodak nasz, dr. Max Zetterbaum, w sposób zarówno jasny jak głęboki udowodnił, *) że dwa te systemy nie mają właściwie nic ze sobą wspólnego, ponieważ materyalizm historyczny nie zajmuje się wcale stosunkiem świadomości do zjawisk fizyologicznych i nie zamierza wcale przez sprowadzenie wszystkich zjawisk do jednej materyi rozwiązać zagadnienia istoty ostatecznej wszechrzeczy, tylko ogranicza się do badania społeczeństwa ludzkiego, w którem wszystkie stosunki są z natury rzeczy psychiczne, i wśród tych stosunków za decydującą, kierowniczą, uważa jedną ich kategoryę — ekonomiczną. „Jest on — mówi trafnie Zetterbaum — empiryczno-naukową teoryą tego samego rodzaju metodologicznego i takiego samego znaczenia dla socyologii, co teorya Darwina-Lamarcka dla biologii lub teorya ciążenia dla fizyki i astronomii.“ Nie jest to więc filozofia systematyczna, podporządkowująca sobie z góry wszystkie nauki, lecz tkwiąca wewnętrznie w każdej poszczególnej nauce i wiążąca wszystkie wewnętrznym, nieapriorycznym węzłem jednej metody patrzenia na rzeczy. Jeśli Marx i Engels nazwali swą metodę materyalizmem: to tłomaczy się przyczynami historycznemi, szło im o zerwanie z panującą wówczas w Niemczech spekulacyą mistyczno-idealistyczną, o demonstracyę przeciw niej, o *realizm* w badaniu, o posuwanie się od rzeczy prostych do złożonych, a w owym czasie jedynie materyalizm przynosił i uzasadniał tę metodę. Filozofia idealistyczna znała także ewolucyę — pod nazwą dyalektyki; lecz była to ewolucya idei abstrakcyjnej, która miała się odbijać, i to przeważnie niezupełnie i niedoskonale, w ewolucyi zjawisk rzeczywistych. Marx w poglądzie na historyę odwrócił ten stosunek: rozwój zjawisk społecznych najprostszych, najbardziej elementarnych i podstawowych, czyli ekonomicznych, odbija się w rozwoju idej. Ściśle biorąc, nie jest to więc materyalizm, tylko *transformizm realistyczny*. Istotnie, metoda Darwina, kierunek i działanie jego odkryć i teoryj były zupełnie takie same. Jedno i drugie wypływało z ogólnego prądu filozoficzno-przyrodniczego, wymierzonego przeciw światopoglądowi średniowieczno-reakcyjnemu. Marx i Engels mogli więc słusznie mniemać, i ich uczniowie później słusznie nieraz zaznaczali, że przedsiewzięli oni dla nauk społecznych dzieło podobne do tego, jakie Darwin rozpoczął dla przyrodniczych.

(D. n.).

Dr. K. Krauz.

*) *Die Neue Zeit*, XXI, nr. 39.



Literatura szwedzka.

Knut Hamsun: *Dronning Tamara* (Królowa Tamara).

Oryginalny zarówno w twórczości swej, jak w życiu, Knut Hamsun, mając sposobność wyjazdu za granicę, ominął zwykłą, utartą drogę do Włoch, gdzie każdy niemal kamyk jest znany, opiewany piórem, odtworzony dłutem lub pędzlem, a udał się na Kaukaz, o którym tak mało dotąd wiemy. Wrażenia swoje z pobytu w tym nieznanym kraju zamieścił w książce (wydanej w czerwcu r. b.), p. t. *I Aeventyrland* (W krainie baśni). Zainteresowanie się autora naturą i obecną kulturą ludu wywołało u niego chęć sięgnięcia głębiej w historyę tego kraju. Owocem pracowitych w tym kierunku studyów jest najnowszy dramat prozą w trzech aktach: „Dronning Tamara.

Tłem sztuki uczynił poeta chwilę, w której Georgia, wprawdzie sama już chrześcianka i krzewiąca nową wiarę u podbitych ludów nie przesiąkła jeszcze chrystyanizmem — zdradza wiekową tradycyę mahometańską. Objawia się to zarówno u przedstawicieli dworu królewskiego, jak u pobożnej królowej. Świadoma tego grzechu Tamara poddaje się we wszystkiem przemożnej władzy swego spowiednika i doradcy, przeora, który z kobiety młodej, żądnej jeszcze życia, chce uczynić ślepe narzędzie swego fanatyzmu, z bezwzględnością i okrucieństwem narzucające zwyciężonym chrześciaństwo.

Chwilowe oderwanie myśli królowej od spraw ziemskich sprowadza nieporozumienie między parą królewską. Książe Giorgi, mąż Tamary czuje się niełaską małżonki podwójnie dotknięty; cierpi z powodu chłodu królowej, która nie przestała dotąd być jedynym przedmiotem jego pożądania, cierpi też dotknięty w swej miłości własnej, gdyż obojętność Tamary przypisuje lekceważeniu jego stanowiska. Jest on bowiem tylko mężem królowej, ojcem jej dzieci, najwyższym wodzem a więc nie równym jej, lecz podwładnym. Jako człowiek pozbawiony wszelkich subtelności wyrozumował on sobie, że upokorzenie małżonki to jedyna droga do jej serca. Myśl ta nurtowała w nim długo, aż przybrała formy konkretne pospolitej zdrady. Zamierza on stanąć na czele nieprzyjaciół, napaść na wojsko Tamary, pobić je i zmusić królowę do uznania się za zwyciężoną. Wykonanie tego planu wprowadził też poeta do dramatu, który się nim kończy scenicznie, wywołując pożądany efekt i dając pole bohaterce do wykazania całej swej kobiecej tkliwości, gdy drży o życie drogiego najezdcy i każe go oszczędzać.

Rozwiązanie jednak głównej idei, to jest przemiany w sercu królowej, jako subtelniejszej, przeprowadził poeta niby pod wpływem zgoła odmiennych czynników. Przedewszystkiem zdaje się, że w młodej kobiecie przemówiła natura, gdy ona z łatwością poddała się urokowi młodego chana Towinów. Potrzeba słodszych uczuć istniała więc już w bohaterce, a poświęcenie się męża oddającego się w zamian za uprowadzone dziecko, dokonało reszty. Jest nawet chwila, kiedy Tamara nie wie czego pragnąć: powrotu męża, czy syna. Dowiaduje się przy tej sposobności, że utraciwszy najdzielniejszego wodza, jest bezsilną, a więc nie ona, królowa znaczy więcej, lecz mąż jej — oto najwyższy tryumf nieobecnego księcia Giorgi.

Odkrycie tajemnicy księcia, który knuł zdradę, zamiast uśmierzyć rozpacz Tamary, potęguje ją jeszcze; z listu pisanego przez niego do nieprzyjacielskiego chana dowiaduje się królowa, co skłoniło jej małżonka do tej zbrodni i tryumfuje w niej kobieta. Tak być kochaną, aby ta pierwsza po niej osoba w kraju, ten wódz uwielbiany dopuścił się nawet haniebnej zdrady tylko w celu odzyskania jej serca, wydaje się Tamarze najwyższem szczęściem. Kobieta przysłoniła w niej monarchinię. Jest to pewna niekonsekwencya w charakterystyce królowej Tamary, której hart i dzielność męzką autor często podnosi — jakieś wahanie, walka uczuć byłyby naturalniejsze.

Jak wiadamo nie jest to pierwsza próba dramatyczna Knuta Hamsuna. Trylogia: *Ved Rigets Port* (U bram państwa), *Livets Spil* (Igraszki życia) i *Aftenröde* (Zmierzch wieczorny), miała powodzenie czysto literackie. *Munken Vendt*, poemat dramatyczny ma autor przerobić na scenę. Ostatnia w tym dziale praca *Królowa Tamara* jest już zupełnie normalnym dramatem scenicznym, obliczonym na efekt, którego też autor nie szczędził wcale.

Na scenie panuje ruch ciągły: straż, jeńcy, oficerowie kapiący od złota, tancerki w powiennych szatach, muzykanci przesuwają się ustawicznie. Sama akcya jednak toczy się dość wolno, opóźniają ją bowiem liczne epizody same przez się wprawdzie ładne i do charakterystyki bohaterki nawet coś wnoszące, ale w każdym razie zabierają one zbyt dużo czasu.

Obok głównego motywu, który zajmuje Hamsuna często, mianowicie walki miłosnej kobiety z mężczyzną, tu wprowadza się druga walka: królowej o samodzielność, o usunięcie się z pod wpływu potężnej woli przeora, paraliżującego każdy jej czyn, nacechowany ludzkością. Już w pierwszym akcie chwieje się ten wpływ, gdy stawiają chana przed oblicze królowej. Uznaje ona słuszność wyrzutów jeńca, miesza się i zwraca do przeora, by on odpowiedział, czuje bowiem, że ona nie znalazłaby słów, które zadowoliłyby nieubłaganego księdza. Wreszcie w akcie trzecim, gdy chodzi o wyrwanie męża z rąk wrogów, a przeor każe królowej domagać się bezwarunkowo od nich przyjęcia wiary chrześciańskiej bez względu na to, że książe Giorgi może to życiem przypłacić, doprowadzona do ostateczności Tamara buntuje się i otrząsa z kilkoletniej tyranii swego spowiednika. Wbrew jego życzeniu zamierza odesłać Towinom zwłoki chana, żądając w zamian wydania męża. Dbała o rozrost wiary chrześciańskiej, ma nadzieje łagodnością, dobrymi rządami, przykładem skłonić Towinów do przyjęcia chrztu.

Charakterystyka osób wogóle nie jest siłą Hamsuna, w dramacie uderza ten brak jaskrawiej. Chociaż ostatnia sztuka i pod tym względem jest lepszą, dałoby się jednak zarzucić to i owo, zwłaszcza głównym postaciom.

Wielka próżność i zmienność usposobienia niebardzo licują z pięknemi przymiotami Tamary; nawet gdyby przypuścić, jak widocznie chce Hamsun, że to są właściwości czysto kobiece, czy możliwem jest jednak, aby tego rodzaju kobieta przyjęła zupełnie obojętnie mistyfikacyę księcia, który, chcąc ją wybadać, w przebraniu donosi jej o swojej śmierci, ciekawy, jakie też wrażenie wywoła ta wiadomość? Sam pomysł taki płaski — na obronę jego, możnaby chyba powiedzieć, że prawdopobny, bo trudno zakreślić granice głupocie ludzkiej, gdy miłość tak kimś owładnie, iż świat przestaje istnieć dla niego, a jest tylko ich dwoje i uczucie — owo trzecie.

Bardziej jednolicie wypadła druga postać kobieca, Fatimat. Śmiała a rozumna chce wlać ducha w osłabłego z miłości chana Towinów, swojego władcę, ułatwia mu ucieczkę i usiłuje przelać w niego swój zapał do walki za wiarę proroka. Widząc jednak, że wszystko daremne, chwyta się podstępu i wmawia w chana, że sama królowa poleciła jej go wypuścić. Niepozbawiona jest Fatimat i większych uczuć: wychowana na dworze królowej Tamary, przywiązała się do niej i do całej rodziny, a chociaż uprowadziła z sobą jej dziecko do obozu Towinów, czuwa nad niem i nie pozwala wyrządzić mu krzywdy.

Męzki świat stanowi tu płeć bezsprzecznie słabszą. Zarówno książe Giorgi, popełniający rozmaite niedorzeczności dla zdobycia miłości królowej, jak młody chan Towinów, wracający do więzienia, by ujrzeć bodaj raz jeszcze tę, którą ukochał od pierwszej chwili, mało posiadają cech męzkich. Miłosne żale księcia nie podnoszą go w naszych oczach, wzruszyć mogłoby jedynie przywiązanie do dzieci, ale i ono objawia się w pierwszym akcie w sposób zbyt miękki, potulny; wrażenie poświęcenia, gdy oddaje się w ręce nieprzyjaciół w zamian za syna, psuje wyzyskanie tej sytuacyi dla wykonania dawno powziętego planu zdrady.

Jako przeciwstawienie surowej, bezwzględnej, lecz bądź co bądź prawej postaci przeora, wprowadził Hamsun niby komiczną figurę sprośnego opata.

W każdym razie dramat najnowszy, wyreżyserowany należycie, oczyszczony z niektórych szczegółów, niesmacznych a niepotrzebnych (jak np. nieparzyste pończochy u królowej, o których się dość dużo mówi), mógłby się podobać na scenie. Chociaż przesądzać trudno; podobno najwytrawniejsi znawcy teatru nie mogą po przeczytaniu sztuki orzec, jakie będą jej losy na deskach teatralnych; niedaleka przyszłość rozstrzygnie tę kwestyę, w najbliższym sezonie bowiem mają sztukę wystawiać sceny: Chrystyanii, Kopenhagi i Berlina.

Józefa Klemensiewiczowa.

O prawdę.

Zpowodu artykułu „Kłamstwo w życiu dziecka.“ *)

Pan B. M. utrzymuje, że spółczesna nauka wychowania usunęła z teoryi wychowawczej wiele „zbrodni karygodnych,“ tłomacząc je zboczeniami patologicznemi, oraz, że taż nauka wyłączyła kłamstwo dziecinne z listy wad wrodzonych, trzymając się fałszywie przekonania, że człowiek rodzi się nawskróś prawdomówny. Przekonanie to p. B. M. nazywa fałszywem i stara się swą tezę udowodnić sposobami, nasuwającymi dużo wątpliwości.

Śmiem twierdzić, że autorytetu oświadczenia Rousseau'a, iż kłamstwo nie jest przyrodzoną właściwością dziecka, nie można zbijać oświadczeniem, że dowody, stwierdzające tę hypotezę, znajduje autor w domu rodziców, którzy widzą obraz wyrafinowanej mądrości dziecka: w kłamstwie, w naśladowaniu bólu gardła dla otrzymania cukierka, lub wyrwaniu się z czemś głupiem. Tego rodzaju twierdzenia autor miałby prawo zamieścić w artykule pisanym do pisma czytywanego przez rodziców wynalezionych przez niego; bo co do mnie, wątpię, czy podobnych można znaleźć, jeśli zaś są, to są wyjątki tak nieliczne, że autorytetu Rousseau'a nikt ich przekonaniami podtrzymywać nie będzie.

Rousseau był człowiekiem nauki — zdania jego można odpierać danemi nauki, nie dziecinnemi dykteryjkami.

W dalszym ciągu swego artykułu autor twierdzi, że: „Zaledwo mówić dzieciak zacznie, a już sam tworzy najnieprawdopodobniejsze historyjki,“ i z tego wyciąga wniosek, że „człowiek nie rodzi się prawdomównym.“ Nie miałbym nic przeciwko temu twierdzeniu, gdyby autor wskazał źródła, z jakich się przekonał, że „dzieciak zaledwie mówić umie, zaczyna kłamać.“

Ale nieznany mi autor, przekonany o wyższości swego autorytetu nad autorytetem Rousseau'a, wypowiada tylko zdanie, któremu my prostaczkowie mamy wierzyć, nie tłomacząc wcale, na czem go opiera.

Rozważając myśl swoją o kłamstwie w przyrodzie, p. B. M. dowodzi dalej, że kłamią nietylko ludzie, lecz i zwierzęta, za przykład stawia lisa oraz owady, motyle i ćmy, które przybierają formę i kolor gałęzi, liści, ziemi, drzewa itp., by tylko ujść uwagi prześladowcy. Czyż p. B. M. słyszał kiedy, żeby lis kłamał, albo żeby owady, motyle i ćmy, chcąc uniknąć prześladowania, zmieniały formę lub kolor? Wprawdzie lis jest chytry, czujny, podstępny, ale o tem, żeby kłamał przyjacielskie uczucia względem kur i indyków, którym łby skręca, słyszałem tylko w bajkach. Słyszałem również o teoryi przystosowania się, które wiekami wytwarza w zwierzętach i owadach przymioty, chroniące je przed wzrokiem nieprzyjaciela, ale ten przymiot nic wspólnego z kłamstwem nie ma. Wreszcie gdyby to nawet było kłamstwem, jest ono koniecznem dla utrzymania gatunku, i krytyce autora podlegać nie powinno, choćby z tego względu, że sam chętnie podda się jemu, jeżeli nocną porą przyciśnięty do muru, ujdzie wzroku czyhającego nań z nożem w ręku rzezimieszka.

Podług p. B. M. kłamstwa nie można dziecka wyuczyć tak samo, jak połykania i żucia. Nie wiem, w jakim kraju i w jakich warunkach wychowywał się autor: gdyby jednak zechciał on przejść ulice Warszawy, a wreszcie świat cały i zapytać te setki dzieci, które chodzą po ulicach, prosząc z płaczem o jałmużnę dla umierającej matki lub ojca, kto ich wysłał na żebraninę, kto uczył opowieści o chorobie rodziców, których najczęściej nieszczęśliwe dziecko nie posiada, przekonałby się łatwo, że kłamstwa można nauczyć dziecko, tak jak każdego fachu.

Dalej autor, broniąc swej tezy, wpada w sprzeczność z samym sobą. Wskazując sposoby, jak należy dzieci od kłamstwa odzwyczajać, p. B. M. objaśnia nam, w jaki sposób dzieci uczą się kłamać. Już w samym początku artykułu p. B. M. przyznaje, że dzieci chętnie słuchają kłamstw, któremi uspakajają je nianki i mamki, następnie przyzwyczajenie do kłamstwa rozwija się przez uwielbienie rodziców dla pierwszych, często przypadkowych kłamstw dziecka (zdanie autora); w końcu autor radząc, żeby nigdy nie wprowadzać dziecka w położenie, gdzie powiedzenie prawdy mogłoby się przyczynić do pogorszenia jego bytu, przyznaje, że dzieci nasze często bywają stawiane przez nas w takiem położeniu. Im więcej przepisów, powiada autor, tem więcej oporu, im więcej napadów, tem rozpaczliwsza obrona, tem więcej kłamstw. Tem się tłomaczy podług pana B. M., że dzieci warstw zamożnych, mimo starannego wychowania, bardziej są skłonne do kłamstwa, niż dzieci proletaryatu.

Otóż wszystko, co powiedział autor, dowodzi, że zdolność do kłamstwa rozwija się w dzieciach dzięki warunkom otoczenia; im więcej te warunki sprzyjają rozwojowi kłamstwa, tem silniej wada ta występuje u dzieci.

Gdyby więc autor zamiast w sposób dedukcyjny zbijać autorytet oświadczenia Rousseau'a, że „wszystko wychodzi dobrem z rąk Stwórcy,“ poznał wprzód duszę dziecka, postawionego w warunkach, w których nie miałoby ani przykładu, ani zachęty, ani potrzeby kłamania, to być może przyszedłby do wprost przeciwnych rezultatów.

Bywają epoki i chwile w życiu narodów, kiedy ludzie przestają kłamać. Gdyby kłamstwo było tak nieodłączne od natury ludzkiej, jak szary kolor dla kuropatwy, wszyscy, wszędzie kłamaliby jednakowo. Tego jednak sam autor nie utrzymuje.

Kłamstwo wytworzyły warunki społeczne; tak, jak nie mogło być mowy o kradzieży, dopóki nie było prawa własności, tak samo nie mogło być mowy o kłamstwie, dopóki nie było ograniczeń woli, myśli i czynu. Skoro zatem kłamstwo jest wytworem warunków społecznych, nie może ono być, jak chce autor, przejawem instynktownym, podobnie jak u ptaka budowanie gniazda. Ex nihilo — nihil fit. Posiadamy zdolność do kłamania, ale to nie daje jeszcze prawa twierdzić, że „człowiek nie rodzi się prawdomównym.“ Można utracić rękę, nogę lub głowę, lecz to nie dowodzi, żebyśmy się rodzili bez ręki, bez nogi lub bez głowy.

Walka z kłamstwem jest dziś trudną, nie dlatego, żeby wada ta była sama przez się trudna do wykorzenienia, ale dlatego, że kłamstwo ogarnęło dziś świat cały, że kłamstwa uczą małe dzieci niańki, podrastające — szkoła, a dorosłe — warunki życia.

Projekt zajmowania się naukami przyrodniczemi jako środek, prowadzący do prawdomówności, może podawać tylko człowiek, który tak się zagłębił w przyrodzie, że zapomniał o tem, iż czasy idylli minęły, że istniejemy wśród społeczeństwa, które kłamstwem żyje i do kłamstwa od urodzenia nas zmusza. Niech autor zaproponuje dziecku, katowanemu we Wrześni, żeby opowiadało nauczycielowi prawdę, „czego uczy się w domu“? Niech autor objaśni dziecko, po co Europa uczy miliony żołnierzy, jak wprawniej zabijać, wyznając jednocześnie i głosząc idee miłości bliźniego.

Walkę przeciwko kłamstwu prowadzić trzeba, prowadzić ją każde społeczeństwo powinno, ale zanim zaczniemy tępić wadę tę w dzieciach, zacząć musimy od ojców. Nie w naturze dziecka, ale w fałszywym ustroju warunków społecznych kryje się początek i koniec tego zła, z którem chce walczyć autor.

St. Staniszewski.

*) W nr. 40 *Prawdy.*

NA MARGINESIE.

Wszechreklama. W Paryżu te dzienniki, które głównie starają się o to, jak „épater le bourgeois“ wymyśliły na sposób angielski nowy figiel reklamiarski. Dowcip na tem polega, że ukrywają one codzień jakąś sumę w takiem miejscu, gdzie ją każdy znaleźć może, a w numerze dnia tego miejsce mniej więcej wyraźnie określają. *Journal*, który pierwszy wprowadził tę zabawę, nie używał żadnej nadzwyczajnej sztuki: poprostu wymieniał ulicę lub plac, gdzie pieniądze schował. *Matin* już cokolwiek kunsztowniej rzecz całą urządzał: nie pieniądze chował, lecz przekaz na sumę, którą w administracyi można było odebrać. Tym przekazem był mały medal niklowy, który łatwo dawał się ukryć bez zakopywania w ziemię lub robienia dziur w murze. Miejsce je-

go schowania było wskazane w numerze pisma sposobem rebusowym, który przedstawiał pewne trudności w odczytaniu. Kto miał szczęście lub spryt, mógł zdobyć tą drogą 3,000 lub 7,000 franków. W ostatnich dniach oba dzienniki, które dotąd po za ofiarę 25,000 fr. pójść się nie ośmieliły, w kąt zapędził *Petit Parisien*, przeznaczając na ten cel 250,000 fr, i nie mniej, jak 25,000 fr. na jednorazowe ukrycie. Za przykładem paryskich dzienników wenecki *Il Giornaletto* obiecał każdemu abonentowi kwartalnemu bezpłatną przejażdżkę do Treviso.

Wobec takiej reklamy wszelkie inne zabiegi około zdobycia jak największej liczby prenumeratorów są naiwnem dzieciń每stwem.

201 kilometrów na godzinę. Pomiędzy Marienfelde a Zossen robiono próby z nowymi pociągami elektrycznymi firmy Siemens i Halske. W 8 minut przebyli przestrzeń 23 kilometrów, dzielącą Marienfeld od następnej stacyi. Jazda była spokojna i równa, tylko wszystko wzdłuż przebieganej drogi zlewało się w oczach patrzących w jedną, ciągłą linię. Prowadzący może zauważyć przeszkody na torze, lecz takiego pociągu w żadnym razie nie zahamuje na przestrzeni mniejszej, niż dwa kilometry. Dla osiągnięcia tej szybkości trzeba było wytworzyć siłę 24,000 koni. Biedny wróbel, który chciał w chwili przebiegu pociągu przelecieć na drugą stronę toru, doświadczył jej mocy na sobie — rozprysł się, zostawiając na ścianie wagonu czerwoną plamę wielkości kleksa z atramentu. Na patrzących z zewnątrz pędzący pociąg robił piorunujące wrażenie. Leciał nie jak wiatr, lecz szybciej niż wiatr. Podróżnych w wagonach można było dostrzedz, lecz nim rozpoznało się ich twarze, już pociąg znikł z widnokręgu.

PRASA POLSKA.

Co to? Jedno z pism tak się wyraża:

„Patrzę właśnie na jeden z tych dowodów uprzejmości, jaką kieruje się prasa, według mnie, całkiem niepotrzebnie. Mamy na myśli zapowiedzi i sprawozdania wyścigowe.

Obecnie mamy 17 dni wyścigowych. Kilka dzienników podaje z każdego z nich sprawozdanie objętości 100—250 wierszy, a niektóre podają z góry program szczegółowy. Proszę to obliczyć, a otrzymamy na każdy dzień około 1,000 wierszy drobnego druku, to znaczy na 17 dni 17,000 wierszy. Taka ilość wierszy, to tyle, co dwa tomy książki. Jeżelibym zaś pomnożył jeszcze wiersze przez ilość egzemplarzy dzienników, tj. przez jakie 60,000 — otrzymałbym miliard i 20 mil. wierszy, poświęconych marnej zabawce, na której ogół nic nie korzysta a wiele traci przez totolizatora.

Cui bono to wszystko? Czy nie lepiej byłoby ten miliard wierszy poświęcić na coś użyteczniejszego? A toć gdyby na to miejsce dać elementarne wiadomości z fizyki lub historyi — byłby jakiś pożytek. Nawet przepis na babkę parzoną lub „suchą konfiturę z gruszek“ miałby większe znaczenie, niż to, czy „Waryat“ wziął o głowę „Niedorajdę,“ a „Lafirynda“ osłabła przy finishu.

Bo i dla kogo te sprawozdania? Dla tych, co byli na wyścigach? — nie, boć oni na nie patrzyli. Między tymi zaś, co na biegach nie byli, może się znajdzie jakaś garstka interesująca się losami „Lafiryndy,“ ale to garstka. Dlaczego dla tej garstki ma cierpieć 60,000 prenumeratorów, przedstawiających co najmniej 300,000 czytelników? — bo z nich $^{99}/_{100}$ na te sprawozdania nawet okiem nie rzuci.

Jest to więc tylko grzeczność, prosta, bezcelowa reklama dla kosztownej zabawki.“

Tem „jednem“ pismem jest *Goniec poranny* (nr. 79), który w tym samym numerze, na następnej stronicy, pomieścił sprawozdanie „z pola Mokotowskiego“ objętości 102 wierszy. Zachwycałaby nas ta swoboda, jaką redakcya daje fejletoniście, gdyby ten fejletonista nie był jednym z redaktorów...

* * *

— A. Br. pisze w *Wieku* z powodu wystawy obrazów Jacka Malczewskiego:

„To są poprostu rebusy, pięknie, świetnie rysowane, ale rebusy. Było to dobre i miało racyę bytu, kiedy za czasów Asyryjczyków, Babilończyków i Egipcyan stan uprzywilejowany kapłański, posiadający jedynie „tajemnicę prawdy,“ kazał czołem padać przed Sfinksem, do którego objaśnienia pisał w hieroglifach. Minęły te czasy. Żądamy i mamy prawo żądać tak od nauki, jak od sztuki — jasności i prawdy. Kto uznaje Sfinksy, a chce wypisywać czy tworzyć hieroglify, niech stworzy obok siebie osobną kastę, wierzącą lub udającą wiarę w to wszystko. Ta kasta w naszych czasach bardzo jest podobna do kliki, wmawiającej: wielkość, oryginalność, głębokość, niedostępność dla tłumu itd... My, ludzie zwyczajni, my filistrzy, my mydlarze, którzy obstajemy uparcie przy tem, że dwa a dwa jest: cztery — nie: lampa — mamy zarazem głupie pretensye, chcąc właśnie, aby nauka zbliżała nas jak najbardziej ku prawdzie, a literatura i sztuka przemawiała do nas jasno, szczerze i pięknie— a przynajmniej zrozumiale...“

Nareszcie znalazł się człowiek, który miał tyle szacunku dla swego rozumu, że się przyznał, iż nie rozumie.

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. *Wileńskij Wiestnik* ogłasza: „Wileński sąd okręgowo-wojenny, rozpoznawszy sprawę szeregowca III batalionu saperów, Piotra Anotina, oskarżonego o umyślne użycie broni przeciw swemu dowódcy roty, sztabs-kapitanowi Sredniewowi, i zadanie mu ciężkich ran, uznał go za winnego tej zbrodni i na mocy art. 10, 16, 91 oraz II cz. 98, ks. 22 Zb. rozp. woj., wyd. III, 1869 r., skazał go na pozbawienie wszystkich praw stanu i karę śmierci przez rozstrzelanie.“

— *Finlandzkaja gazeta* ogłasza rozporządzenie gubernatora wazańskiego, zabraniające w miejscach publicznych schadzek, zbiegowisk, śpiewania hymnów, psalmów, wypowiadania mów, urządzania powitań itd. Przekraczający ten przepis będą karani grzywnami do wysokości 400 marek lub, w razie niemożności zapłacenia, więzieniem. Sprawy o tego rodzaju przestępstwa wyłączono z pod kompetencyi sądów, będą, one rozstrzygane przez gubernatora w drodze administracyjnej.

— Ogłoszono stan ochrony wzmocnionej w miastach, Aleksandropolu, gubernii Erywańskiej, Witebsku i Dźwińsku.

Wiadomości społeczne. W Petersburgu wydano rozporządzenie, pozwalające herbaciarniom i jadłodajniom nietrzymającym napojów spirytusowych, nie zamykać zakładu przez noc całą, jeśli mróz przekracza 8 stopni.

— Izba sądowa odeska, rozpatrzywszy drugą z kolei sprawę o zaburzenia w m. Akerbacie, pow. Akermańskim, skazała jednego z obwinionych na 2 lata rot aresztanckich, dwóch na rok i 6 na sześć miesięcy więzienia.

— Z Bachmutu donoszą, iż od d. 14 b. m. we wszystkich kopalniach i fabrykach okręgu donieckiego obniżono płacę roboczą o 10%, a w wielkich zakładach hutniczych w Józówce o 20%. Obniżka motywowana jest zaprowadzeniem ulepszeń w fabrykacyi. (*Kur. Warsz.*).

— *Odes. Nowosti* donoszą, iż na ostatniej audyencyi w Ildiz-kiosku jeden z posłów oświadczył sułtanowi, że jego rząd nie miałby nic przeciwko temu, aby Żydom odstąpiono całą zajordańską część Palestyny i te miejscowości z tej strony rzeki, których nie odwiedzają chrześcianie. Skutkiem tego oświadczenia dr. Hertzl podobno został wezwany do Konstantynopola. (*Kur. Warsz.*).

— *Pet. Wied.* w artykule „Groźby Rusinów przeciw Polakom“ przytaczają następujący ustęp ze *Swobody*, organu narodowego komitetu rusińskiego: „Prusak daje dziś chleb robotnikom rusińskim, ażeby ci ostatni nie byli zmuszeni pracować na polskich popów za 20 krajcarów dziennie bez utrzymania. Kto wie, czy nie Prusak zdejmie z nas okowy, w które zakuli Polacy naród rusiński? Zdaje się, że niedaleką jest już chwila, kiedy Rusini i Prusacy staną obok siebie, ażeby wspólnemi siłami odeprzeć napad Polaków.“

— Zatwierdzono ustawy kas pogrzebowych w pow. Grójeckim i Sochaczewskim.

— Z powodu odsłonięcia w Ulm, w Wirtembergii, pomnika, wzniesionego adwokatowi Hemplowi, wynalazcy ulubionej w Niemczech gry „skata,“ *Holsteinische Cur.* pisze: „Dożyjemy tych czasów, że ludzie wybitni w testamentach zastrzegać będą, ażeby ich nie ośmieszano po śmierci przez stawianie pomników.“

Z Poznańskiego. Sąd ławniczy w Środzie skazał mularza Szymańskiego na 15 marek kary za to, że gdy jeden z mówców na zebraniu przedwyborczem wspomniał o Bismarcku, Szymański krzyknął: „Ten już dawno zdechł!“

— W Inowrocławiu powstał nowy polski Bank parcelacyjny, którego zadaniem ma być przeciwdziałanie kolonizacyi niemieckiej.

— Izba karna w Bytomiu skazała nauczyciela Sage z Orzegowa za dopuszczenie się czynów niemoralnych na 24 uczennicach, na 4 lata zuchthauzu i 8 lat utraty praw honorowych.

Szkoły i wychowanie. W celu zapobieżenia mnożeniu się chederów w Warszawie, inspektor szkół wystąpił z żądaniem otworzenia od Nowego Roku 7 męzkich i 3 żeńskich szkół jednoklasowych dla Żydów.

— Ministeryum spraw wewnętrznych pozwoliło w drodze ulgi wyjątkowej b. uczniom dentystycznym, zapisanym przed rokiem 1891, zdawać egzamin na stopień lekarza-dentysty, bez przedstawienia świadectwa z 6 klas gimnazyum.

— Jedenastu profesorów wydziału filozoficznego w Pradze zawiesiło wykłady, chcąc tym sposobem zmusić do budowy nowego gmachu uniwersyteckiego.

— Do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zapisało się w r. b. 1,593 słuchaczów, w tej liczbie 437 nowo wstępujących.

— D. 15 b. m. rozpoczęły się wykłady na wyższych kursach dla kobiet im. dr. A. Baranieckiego w Krakowie. Wykładać będą następujący prelegenci: prof. uniw. dr. N. Cybulski — fizyologię; dr. W. Czermak historyę polską; prof. M. Dubiecki — literaturę polską; dr. St. Grabski — ekonomię polityczną; B. Gustawicz — kosmografię i geografię; dr. W. Kulczyński — zoologię; dr. A. Mazanowski — literaturę polską XIX wieku; prof. J. Maciołkowski — pedagogię ks. dr. A. Podwin — etykę i historyę Kościoła; dr J. Rostafiński — botanikę i o elementarnych zjawiskach życia; dr. L Rydel — literaturę powszechną; dr. M. Straszewski — historyę filozofii; prof. A. Szarłowski — historyę powszechną; dr. M. Żmigrodzki — historyę sztuki.

— Skutkiem protestu Rady miejskiej we Lwowie, ministeryum oświaty poleciło przywrócić naukę historyi polskiej w szkole rękodzielniczej.

Wadomości naukowe. Tow. tatrzańskie wydało polską mapę Tatr.

Ze sztuki. W Towarzystwie Zachęty urządzono wystawę pośmiertną dzieł Siemiradzkiego, składającą się z 254 obrazów i szkiców.

— W Salonie Krywulta otwarto zbiorową wystawę prac malarskich Henryka Piątkowskiego.

Zdrowie publiczne. Ogłoszenie o zanieczyszczeniu wody dystylowanej w 11 aptekach warszawskich na 12, skąd były brane próby, wywołało podobno popłoch wśród aptekarzy, którzy utrzymują, że używana przez nich woda oczyszczona nie zawiera żadnych mikrobów. Magister Białobrzeski, asesor urzędu lekarskiego, zażądał wody ze wszystkich aptek warszawskich, aby zbadać słuszność czynionych im zarzutów.

— Do szpitala ewangelickiego zgłosił się w tych dniach robotnik trzydziestoletni, który przed rokiem raniony był w plecy nożem. Rana, która się wówczas zagoiła, teraz otworzyła się na nowo. Przy badaniu lekarza wyczuł coś twardego i, rozszerzywszy ranę, zobaczył tkwiący w kręgosłupie kawałek noża długości kilkucentymetrowej, który tam siedział przez cały rok.

— Upadł podobno projekt palenia śmieci i segregowania odpadków, podjęty przez miejscowych kapita

listów. Organizatorów zniechęcały trudności i zawiłe formalności, stawiane im przez magistrat.

— Departament lekarski postanowił wydawać pozwolenie na sprzedaż specyfików, których skład stanowi tajemnicę wynalazcy, dopiero po ogłoszeniu ich analizy w *Wiestniku* departamentu.

— Zatwierdzono ustawę lecznicy ambulatoryjnej w osadzie Sokołach, pow. Mazowieckim.

— Powiatowe, charkowskie zebranie ziemskie oświadczył się za powoływaniem kobiet na posady lekarzy.

— Wydział hygieny ludowej Tow. hygienicznego, pragnąc zapobiedz szerzeniu się chorób zaraźliwych wśród ludu, ułożył 12 przepisów, dotyczących budowy chat i zabudowań gospodarskich. Te przepisy rozpowszechnione będą na prowincyi za pośrednictwem oddziałów instytucyi oraz Towarzystw lekarskich.

— W Inkon, w Mandżuryi, w ciągu miesiąca zachorowało na dżumę 430 osób, z których 305 zmarło.

Sprawy ekonomiczne. *Warsz. Dniewnik* donosi: Rada wojskowa okręgu warszawskiego, po rozpoznaniu jednego z referatów sztabu okręgowego w sprawie wynagrodzenia właścicieli ziemskich za straty, wyrządzone skutkiem potratowania pól przez wojska w czasie manewrów, uchwaliła wyjaśnić komisyom wyznaczonym do oszacowania tych szkód, że: 1) w sporządzanych przez nie aktach powinny się mieścić wszystkie dane, usprawiedliwiające prawidłowość dokonanego szacunku, czyli, że powinno być tam wskazane, jaki obszar zasiewów został stratowany i w jakich właśnie rozmiarach nastąpiło stratowanie; jakiego rodzaju, gatunku i jakiej ilości zboże, czy też rośliny pastewne i według jakich cen jednostkowych obliczono wynagrodzenie; 2) w razie powoływania rzeczoznawców, ci do składu komisyi nie wchodzą, komisya zaś po wysłuchaniu rzeczoznawców, obowiązana jest samodzielnie ustanowić wysokość wynagrodzenia, według danych zebranych na miejscu o cenach, na produkta rolnicze i względnie do gatunku uszkodzonych produktów.

— Według sprawozdania departamentu górnictwa ilość złota, otrzymanego z kopalni na Syberyi, w górach Uralskich i w Finlandyi, wynosiła w 1899 r. 2,346 pudów w 1900 r. — 2,366, w 1901 r. — 2,416 pudów.

Koleje i komunikacye. Według nowych przepisów, na posady konduktorów kolei Nadwiślańskich mogą być przyjmowani ci tylko, którzy poprzednio odbyli służbę jako smarownicy. W czasie tej praktyki mają pobierać zapłatę robotników. Powinni posiadać język rosyjski. Jako kandydaci uznani zostali przedewszystkiem zapasowi szeregowcy — wśród nich procent prawosławnych winien wynosić 50.

— Stacya krańcowa kolei Nadwiślańskich, Kowel, przeszła pod zarząd kolei Południowo-Zachodnich.

Klęski żywiołowe. We wsi Radzyń, gub. Siedleckiej spaliło się 60 chat.

Katastrofy. Skutkiem trzęsienia ziemi w Turszyzie i Chorasanie (gub. Bakińska) uległo zburzeniu 800, uszkodzeniu zaś 400 domów, nadto zniszczonych zostało 8 wsi okolicznych. Liczba ludzi zabitych dochodzi do stu kilkudziesięciu.

— Pociąg nadzwyczajny, którym powracał z Syberyi do Petersburga minister spraw wewnętrznych W. K. v. Plewe, rozbił się na 13 wiorście od Czelabińska na linii Samara-Złatoust. Oprócz niezbyt ciężkich ran jednego z konduktorów, nikt więcej nie ucierpiał. Przyczyną katastrofy było stado wołów, na które wpadł pociąg. (*Ural. Żizń*).

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Октября 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.